

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadeśtane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadeśtanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1. Telefony: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22. FILIE ADMINISTRACYJNE: Sienna № 2 tel. 114-30.

ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81. Za odnośzenie do domu dołącza się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 5 z dnia 1 Lutego 1913 r.

PENSYONAT WYTWORNY
D-rowej Z. Woyciechowskiej
Nowogrodzka № 40. Tel. 186-58.

NAJLEPSZA
CZEKOLADA SZWAJCARSKA
NA MLEKU

„Caillers”.

< DOM > **Br. POPLAWSKI**
BANKOWY

Czysta № 8 róg Wierzbowej. Telefon 6-55



Biuro Komisowe 1^{go} rzędu,

zatwierdzone przez Ministerium, kaucyonowane, Waleryana Śniechórskiego, Warszawa, Królewska № 29, przeprowadza: kupno-sprzedaż majątków ziemskich, domów, wille, placów. Lokatę kapitałów na hipoteki. Dzierżawy majątków. Wogóle najszerze pośrednictwo. Majątki ziemskie, domy, wille, place, są zawsze do sprzedania i sumy do ulokowania na hipoteki.

BIURO KOMISOWE **Waleryan Śniechórski,**
Królewska № 29.

Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Telefon: 5-09, 8-29.
Winda. Elektryczność. Kapiela.

Bardzo ważne dla Polaków.

Zwracamy uwagę, że Związek katolicki krawców w Kra-owie (Florjańska 7 tuż przy rynku — Zakład centralny a filja we Lwowie plac Halicki 7) jest znanym od 13-tu lat największym w Galicji zakładem krawieckim na zamówienia. Wytrawne siły fachowe, wykształcone w akademiach krawieckich Wiednia, Monachium, Hannoveru.

Największy skład krawiecki sukna, kamgarów, szewiotów i t. d. angielskich i krajowych. Jest jedyną firmą w całej Galicji, która sama wyrabia we własnych warsztatach także ubrania gotowe. Po za tą firmą wszystkie inne sprowadzają ubrania gotowe z Wiednia i Prus od Niemców i Żydów.

Związek katolicki krawców jest jedyną kooperatywą krawiecką wytwarzającą w całej Polsce.

Ceny są najprzystępniejsze.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski. Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Pod kołami fortuny.

„Nie złączmy tylko reszty narodu pod berło jednej rodziny, a pewnie doczekamy się tego losu, który spotkał narody — włoski i niemiecki”. Słowa te pisał wielki patriota, demokrat, człowiek wiekopomnych zasług — ksiądz Stanisław Staszyc w książce zatytułowanej: „Ostatnia przestroga dla Polski”, — a wydanej w dobie doniosłych reform wewnętrznych, poprzedzających ostateczną katastrofę, — w przededniu Sejmu Wielkiego. Był tedy w dziejach moment, kiedy postrachem dla Polaków był obraz położenia Niemców i Włochów! — „Najstraszniejszy jest los narodu, który zostanie rozdzielony między obce rządy” — pisał tamże Staszyc. „Dawajmy jeszcze raz tyle podatku, uczynmy się potrzebnymi europejskim dworom, ale niech już tego przykładu nie będzie, aby Polak miał podpisywać niewolę choćby jednego miasta. Tej władzy żaden lud wolny nie ma”. — Taki przykład jednak był już kilkanaście lat przedtem — i niestety, powtórzył się jeszcze dwukrotnie w kilka lat później. Od tej pory — jak wiemy — los Niemców i Włochów tak znakomicie się poprawił, że już nie politowanie lub groźbę, lecz raczej zazdrość w Polakach budzić może. Wczasy, gdy ich ojczyzna została rozdzielona, inne się zjednoczyły, gdy ona upadła — inne osiągnęły nie przeczuwaną wówczas potęgę. Nie zaraz jednak. W roku 1806 i następnych położenie Niemiec bynajmniej nie było lepszym od położenia Polski — w szczególności zaś królestwo pruskie, jeśli nie zostało całkowicie z mapy euro-

pejskiej wymazane, to stanowiło na niej zaledwie nikłą plamkę. Włochy — jak wiemy — jeszcze w ciągu następnych trzech ćwierci wieku były „wyrażeniem geograficznym”, mniej-więcej tak, jak teraz Polska, — a jedynie tylko dzięki ukształtowaniu swemu naturalnemu w postaci odrębnego półwyspu, były „wyrażeniem”, którem geografia nigdy posługiwać się nie przestała, gdy współczesne podręczniki tej nauki bez wyrazu „Polska” obejść się mogą.

Inaczej jednak było przed laty. W tym samym czasie, gdy Staszyc pisał swą „ostatnią przestrogę” — Kołłątaj w odezwie „do prześwietnej Deputacji” — układającej nową ustawę rządową, przypominał jej, że Polska rozległością dorównywała Francji, ludnością przewyższa Wielką Brytanię, jakkolwiek było to już po pierwszym rozbiórce, gdy granice kraju znacznie się uszczupliły. Od owego czasu liczba Polaków nie zmniejszała się, tylko kilkakrotnie wzrosła, jeśli bliską prawdą jest statystyka Staszycy, która określa naród polski na 7 do 8-miu milionów. — Mimo to i stosunek liczebny zmienił się wielce na naszą niekorzyść; z Wielką Brytanią mierzyć się dziś nie możemy.

Nie należy się tedy łudzić, że upadek polityczny nie wywarł ujemnego wpływu na rozwój wewnętrzny narodu, że niezależnie od niego dźwigaliśmy się kulturalnie, ekonomicznie, że naród wzrastał, choć państwo nie istniało. Szliśmy wprawdzie naprzód, lecz coraz powolniejszym krokiem, tak dalece, że w stosunku do tempa rozwoju narodów wolnych lub

NOWOOTWORZONY PENSJONAT
J. Jaxa-Kwiatkowskiej
Nowo-Sienna № 3. Telefon 261-16.



S. Satalecki
Nowy-Świat 49

POLECA
Koszule frakowe, Kamizelki,
Krawaty w modnych kolorach.

HOTEL EUROPEJSKI
W WARSZAWIE.

wyzwalających się ten nasz pochód był poprostu ciąglem cofaniem się. Byliśmy i jesteśmy wciąż spychani do dalszych szeregów, i nawet w momencie ostatecznej katastrofy państwowej zajmowaliśmy pod względem kulturalnym znacznie wyższe stanowisko w rzędzie ludów europejskich, niż obecnie. — Dziś przywykliśmy już do tej myśli, że jesteśmy o pół wieku poza Europą. Twierdzenie to jednak dopiero w ostatniej epoce dziejów jest prawdziwe, a nie opiera się bynajmniej na jakimś niezmiennem prawie pierworodztwa innych narodów. Nie zawsze tak bywało i nie było tak bynajmniej w chwili, gdy swą „ostatnią przestroge” pisał Staszyc. W owym momencie pod wielu względami dorównywaliśmy Europie, w pewnych kierunkach — wyprzedzaliśmy ją, a niższość nasza bezwzględna i dla losów kraju fatalna leżała wyłącznie w dziedzinie państwowej potęgi materialnej. Kraj był biedny i rozbrojony.

Upadek polityczny nie był skutkiem, lecz przyczyną cofania się wewnętrznego. Polska padła ofiarą nie wyższej kultury, lecz silniejszej organizacji państwowej i potęgi militarnej państw sąsiednich. Fakty, dowodzące tego twierdzenia, są przecież tak znane, że niemal zbytecznem się zdaje przytaczać je tutaj. Kiedy w 1819 r. powstało w Prusach ministerium oświaty — wzorowało się na jedynym do owej chwili istniejącym w dziejach Europy przykładzie — na polskiej Komisji edukacyjnej, która o czterdzieści kilka lat wcześniej stworzyła szkołę państwową. Nie można powiedzieć jednak, aby ten przykład został skopiowany wiernie. System Komisji edukacyjnej był nawskroś przejęty takim obywatelskim i republikań-

skim duchem, z którym ani ówczesne, ani nawet dzisiejsze Prusy pogodzić by się nie mogły, a kierunek pedagogiczny, posługujący się, jako punktem oparcia, poszanowaniem i wzmacnianiem poczucia godności osobistej młodzieży, pojętej tak samo, jak w obecnem angielskiem wychowaniu „self-respect” — stał o wiele wyżej, niż tegoczesne wychowanie pruskie. Wszystko to jednak trwało krótko — przeminęło dawno, — tak jak minęła Rzeczpospolita, i nie można nawet powiedzieć, by pozostało tylko wspomnienie, gdyż i wspomnienie już się zatarło w duszy żyjących pokoleń.

W lat 20 mniej-więcej po ukazaniu się „Ostatniej przestrogi” Staszycy — pisał Kołłątaj swoje „Uwagi o Księstwie Warszawskim”. Książka była już w założeniu swem tendencyjna. Pisana była w tym celu, by ją podsunąć Napoleonowi dla objaśnienia go, czego po nim naród polski oczekuje i jak dalece niewystarczającym załatwieniem sprawy polskiej jest ustanowienie Księstwa Warszawskiego. Autor zwraca się w niej do rodaków swoich, zalecając im cierpliwość i ufność, gdyż jest rzeczą jasną i niewątpliwą, iż mądra polityka wielkiego zdobywcy swe rozległe plany urzeczywistnia stopniowo; bynajmniej nie myśli poprzestać na tak połowicznej i kruchej formacji państwowej, jak rzeczone Księstwo. Na karb tej tendencyjności zaliczyć należy — nie dla polaków przecież, lecz dla cesarza przeznaczone objaśnienia, jak rozległe są granice etnograficzne Polski. Ponieważ jednak książka była w polskim oryginale drukowana i czytana przez ludzi, świadomych rzeczy, nie mogła ogólnie znanych lub łatwych do sprawdzenia faktów przeinaczać. „Wszystkie kraje, leżące po prawym brzegu Odry, są słowiańskie, Szlązacy, począwszy od źródeł Odry, aż po granice Brandenburgii mówią po polsku. (W mieście Wrocławiu, które jest stolicą tego państwa, mowa niemiecka i polska są wspólne mieszkańcom, tak dalece, że nabożeństwo nawet odprawia się w obu językach dla wszelkich wyznań. Dyalekt śląskiej mowy jest dyalektem sieradzkim). Nowa Marchja jest prawdziwą częścią dawnej Wielkopolski. (U ludu Nowej Marchii dotąd zachował się ten sam dyalekt, jaki jest w Wielkiej Polsce). Pomerania zamieszкана jest przez lud słowiański, który mówi równie po polsku wedle dya-

lektu kaszubskiego. Prusacy, w całej rozciągłości uważani, mówią albo po polsku, albo po litewsku i w całych Prusiech nie ma innych osad niemieckich, jak te, które zaprowadzili Krzyżacy lub później margrabiowie brandenburscy (kraje rzeczone nietylko zachowały mowę, ale nazwiska miejsc, o które pytając się pospólstwo po niemiecku, nie da odpowiedzi, bo, choć, to nazwisko pokładli Prusacy na kartach, nie zdołali wszelako oduńczyć pospólstwa od dawnych, ani przyuczyć do nowych, co wielu oficerów sprawdziło nietylko w Prusiech Zachodnich, ale i Wschodnich). Wszystkie dalsze ludy, na wschód i południe położone, mówią po polsku. (W kraju, który dawniej zwaliśmy województwem ruskim, lud pospolity najpiękniejszą mówi polszczyzną). Tak pisał Kołłątaj w 1809 roku — niewiele więcej, niż sto lat temu, — czyli względnie niedawno, bo dwa lub trzy pokolenia wstecz od doby dzisiejszej. Zmieniają się czasy, i my zmieniamy się wraz z niemi. Polaków przybyło — ale Polska strasznie się skurczyła; natomiast powstały czwarte i piąte dzielnice jej za Oceanem, oraz liczne kolonie tułaczy po wszystkich punktach powierzchni kuli ziemskiej.

W ciągu minionej doby dziejowej nie jedni tylko Niemcy i Włosi z pod woza na wóz się wydostali i nie jedna Polska tylko stoczyła się pod koła wozu. Nawet w okresie najwyższego swego rozkwitu nie była ona zresztą taką potęgą miażdżącą, którąby dreszczem strachu napelniała Europę. Taką potęgą była natomiast względnie niedawno Turcja. W końcu 17-go wieku stosunek jej do europejskich potęg chrześcijańskich był taki, że znosiły one ze strony władcy otomańskiego cierpliwie upokorzenia i obelgi, jakich by sobie wzajemnie wcale nie mogły darować. Dla okazania należytej pogardy niewiernym giałurom, sułtan nie wyprawiał do dworów europejskich poselstw, lecz wolę swą komunikował im przez swoich pacholców. Natomiast poselstwa europejskie musiały być wielce starannie dobierane, zaopatrzone w bogate upominki, które padyszach przyjmował, jako przynależny sobie haracz, a ceremonia przyjąć wymagał, by służalcy sułtana własnoręcznie zginali głowy panom posłom przed obliczem władcy. W ten sposób traktowani byli nietylko wysłańcy polskich królów elekcyjnych — jak Jana

Kazimierza — lecz pełnomocnicy i przedstawiciele „króla słońca” — Ludwika XIV-go. Jeżeli poseł nie zachował się dość czołobitnie, zdarzało się, że został pojmany, stracony lub w niewolnika obrócony. Stąd zgoda niebezpieczną było rzeczą podejmować się misji poselskiej w Stambule. Dwa stulecia wobec wieczności są chwilą — i ta chwila starczyła, by jego potęgę w Europie i w Turcji samej zniweczyć, a w końcu państwo jego skruszyć w drobne ułamki. Niedługo stać się może zagadka, gdzie jest właściwie, nawet gdzie była Turcja? Na półwyspie Bałkańskim niema dla niej miejsca, wyspy są greckie, Trypolitania — arabską, tak jak Arabia sama. Azyę mniejszą zamieszkują różne ludy, nad którymi Europa rozciągać chce opiekę, mając w zanadru dla byłych poddanych

podyszała tyle do rozdania protektoratów i autonomii, że dla Turków samych pozostaną chyba wąziutkie między niemi szczeliny. Wkońcu, dorabiając teorię do faktów, wyjaśnią im uczeni, że ich ojczyzny nietylko wcale niema, lecz jej wogóle nie było; była tylko długoterminowa używalność cudzej ziemi. Przyznać trzeba zresztą, że dla poparcia tego dowodzenia wcale nie będzie potrzeba bardzo historii naciągać. Wśród tego, to samo koło Fortuny, które gniecie Turcję, wynosi na wierzch państwa, których nie było, narody, których imię samo zaginęło w dziejach, a dziś powstają z prochu, kiedy ona w proch się obraca. Na wszelkie możliwości jest miejsce w historii, niema go tylko dla wyrazów „zawsze” i „nigdy”.

in.

Ze sztuki obcej.



Schlomka. Przyjaciele.



LWÓW RUSKI.

Na tle walk narodowościowych.

Za lat trzy, w r. 1916, stanie w Galicyi pierwszy uniwersytet ruski — według nomenklatury utartej, choć cokolwiek na bakier będącej z geografją: ukraiński. Czy stanie we Lwowie? To pytanie będzie jeszcze przedmiotem długich i zaciętych sporów. Opinia polska, jak dotąd, sprzeciwia się temu stanowczo, nie chcąc dopuścić do wzmożenia się żywiołu ruskiego w mieście o charakterze wybitnie polskim. Niemniej energicznie obstają przy Lwowie rusini. Tu, a nie gdzieindziej, pragną widzieć ucieleśnione marzenie swe o własnym wyższym instytucie naukowym. Wskazują, że Lwów leży na ruskim etnograficznym terenie, że to prastary gród, przez ruskiego księcia założony, o odwiecznych ruskich tradycjach dziejowych, że i dziś skupia się tu życie narodowe całej halickiej Rusi. Lecz zarówno historia, jak życie, nie skąpią argumentów także stronie przeciwnej. Jeżeli prawdą jest, że halicki książę, Lew, dał początek miastu, to niemniej jest faktem, że z tego najstarszego grodu, który tulił się do Góry Zamkowej, nie pozostał ani kamień na kamieniu po niszczącym najeździe Litwinów w r. 1353, który jest datą śmierci Lwowa ruskiego, datą narodzin Lwowa polskiego. Pierwotne drewniane miasto przestaje istnieć; obok zgłiszcz i gruzów jego, nie na tym samym nawet terenie, powstaje gród nowy, polski, wzniesiony z kamienia i cegły, a założycielem jego, właściwym założycielem Lwowa, istniejącego do dziś, jest wielki Piast-budowniczy, Kazimierz. Obok zamierzchłych i skąpych wspomnień ruskich, posiada miasto nierównie bogatsze i świetniejsze polskie tradycje. Jego kulturalny typ tak dalece jest polski, że rozciąga się nawet na to, co zawsze bezspornie do Rusinów należało: na kościoły greckiego obrządku. Lwów nie ma baniastych, orientalnych cerkwi. Prześliczna „cerkiew wołoska”, klejnot starej architektury tutejszej, to najczystszy renesans. Katedra św. Jura, to typowy przekwitły barok polski, dzieło polskiego budowniczego. Życie społeczne uprawnia także nasze legitymacje. Okolica najbliższa nie jest bynajmniej wyłącznie ruską: nasi chłopcy, od wieków tu osiedleni, sta-



Gmach Tow. naukowego im. Szewczenki.

Ruskie Tow. Ubezp. „Dniestr” we Lwowie.

nowią połowę ludności lwowskiego powiatu. Miastu samemu jego odwieczni polscy mieszkańcy dają piętno zarówno kulturą, jak liczbą. Byłoby śmieszną rzeczą podawać w wątpliwość polski charakter Lwowa.

Lecz na nic nie zdałoby się również zamykać oczy na fakt, iż istnieje „Lwów ruski”, niepozorniejszy i uboższy, którego życie tliło się tu od wieków, a który dziś, przy bardziej sprzyjających warunkach, przybrał znacznie na sile. Jak cała Ruś galicyjska, i on występuje w dwojakiej postaci: ukraińskiej i rusko-rosyjskiej. Te dwa światy w łonie jednego narodu stoją naprzeciw siebie w postawie wrogiej, podwójnym też korytem toczy się życie ruskiego Lwowa. Ukraińcy są górą. Tworzą przeważającą większość, mają za sobą uprawnienie ze strony państwa, znajdują sympatyczniejszy oddźwięk w psychice mas. Do nich należy dzień dzisiejszy, a zapewne i przyszłość. Oni to są szczęśliwymi koncesjonariuszami nowej wszechnicy, której zarysy wynurzyły się już zupełnie realnie z mgławicy walk politycznych.

Lwów ruski dzieli los wielu innych mniejszości narodowych w skupieniach wielkomiejskich: jest trudno dostrzegalny. Nie znać go wśród szeroko rozlanych i wartko toczących się strug polskiego życia, i trzeba sięgnąć dość głęboko, aby do niego dotrzeć i zdać sobie sprawę z jego siły. Jednak siła ta istnieje i rośnie. Wcale pokazy jest już dziś przegląd ognisk, w których się skupia życie ruskie we Lwowie, a różnorodność ich wskazuje, że nie mamy już do czynienia z prymitywnymi początkami ruchu. Ognisko, najwyżej sięgające, płonie na naszym, polskim uniwersytecie, gdzie rusini — dopóki nie wprowadzą się do własnej uczelni — mają dziesięć katedr odrębnych i około tysiąca młodzieży. Młodzież ta, znana z burzliwych i brutalnych wystąpień, podzielona na obozy polityczne i w życiu politycznym Rusi galicyjskiej silnie ważąca, skupia się w kilku stowarzyszeniach, wśród których prym wiedzie głośna ukraińskoonacionalistyczna „Hromada”. Szkol-

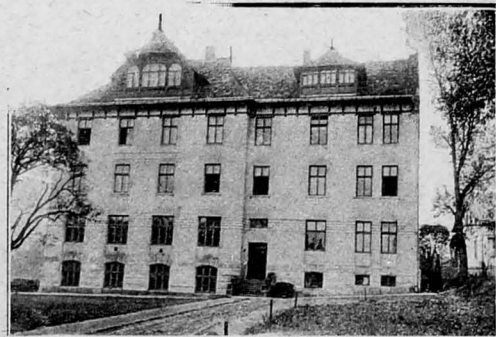
nictwo średnie we Lwowie jest przede wszystkim polskie, mają jednak rusini jedno gimnazjum państwowe, nadto parę szkół prywatnych, które sami utrzymują. Ruskie Towarzystwo pedagogiczne, instytucja stara i zasobna, która powstała przez odłączenie się rusinów od polskiego Towarzystwa pedagogicznego, utrzymuje seminarium nauczycielskie żeńskie i dwie szkoły średnie dla dziewcząt. Zakon Bazylianek utrzymuje również prywatne gimnazjum dla dziewcząt z ruskim językiem wykładowym. Kilka burs ułatwia tej młodzieży naukę i chroni ją od wpływów polskich. Istnieją specjalne stowarzyszenia: „Szkilna pomoc” i „Ruslan”, które stale wspierają uboższych uczniów narodowości ruskiej. Tym „ukraińskim” instytucjom, podobnie, jak we wszystkich innych dziedzinach życia, odpowiadają analogiczne lub podobne instytucje „rosyjskie”.

Inny szczyt kulturalny, obok katedr uniwersyteckich, tworzy w życiu rusinów lwowskich Towarzystwo naukowe imienia Szewczenki — przyszła ukraińska Akademia nauk — które ogłasza rozprawy z dziedziny umiejętności specjalnych (głównie historii i etnografii), wydaje czasopismo naukowe, utrzymuje bibliotekę publiczną, księgarnię i drukarnię. Tej młodej instytucji „ukraińskiej” (założonej w r. 1872) przeciwstawia się do pewnego stopnia instytut „Staupigii”, pozostający, jak dotąd, w rękę lwowskich „wielkorusów”, stworzony w r. 1439, w epoce jeszcze unii florenckiej, dla pielegnowania literatury cerkiewnej, rozporządzający dziś milionowym majątkiem, a ograniczający suchotniczą swą działalność właściwie do utrzymywania drukarni, biblioteki i małego muzeum. Drugie muzeum, z tytułem „narodowego”, mają ukraińcy. Skromna ta, ledwie w zawiązku będąca instytucja, mieści się we własnym gmachu, дарowanym przez hojnego metropolite Szeptyckiego. Natomiast trzecia biblioteka publiczna ruska we Lwowie, w „Domu Narodnym”, jest znowu w rękę nadpółtawiańskich wielkorusów. W życiu artystycznym rusinów lwow-

skich dominuje muzyka. Towarzystwo muzyczne, imienia Łysenka, utrzymuje wyższy instytut, kształcący w tej gałęzi sztuki; obok niego istnieje znakomita drużyna śpiewacza „Lwowski Bojan”. Dla umożliwienia dłuższego pobytu we Lwowie wędrownemu teatrowi ukraińskiemu, który objeżdża prowincjonalne miasta Galicji wschodniej, projektowane jest wzniesienie gmachu teatralnego. Dość liczną jest we Lwowie prasa ruska, w ogromnej przewadze polityczna. I tu, oczywiście, przeplata się poczucie narodowe na dwa wrogie sobie odłamy: codzienne „Diło” i „Ruslan”, to organy ukraińców, „Priкарпатська Рус” i „Haliczanin” służą unifikacyjnym dążeniom rosyjskim. Jak wszędzie, i tu ukraińcy są w stanowczej, bardzo znacznej większości.

Lwów jest stolicą wszystkich wielkich prac społecznych galicyjskich rusinów. Tu rezyduje naczelną organizację głównej partii ukraińskiej, t. zw. „Narodna Rada” i jej rosyjski odpowiednik: „Russkaja Rada”. Ta ostatnia, o ile posiada mniej wyznawców, o tyle przerasta swą rywalke zasobnością materialną; w jej ręku znajduje się „Dom Narodny”, wielka, milionowa instytucja, дарowana w r. 1848 przez cesarza „rusinom miasta Lwowa”, o której odebranie napróżno dotąd kuszą się ukraińcy. We Lwowie, w gmachu własnym, rezyduje „Proświta”, wielka organizacja oświatowa, i znowu jej rosyjski odpowiednik: „Towarzystwo imienia Kaczkowskiego”. Tu ma siedzibę swą „Narodna Torhowla”, ruski Związek stowarzyszeń kredytowych, ruskie towarzystwo ubezpieczeń „Dniestr”, wszystkie trzy operujące w całej wschodniej części kraju, zasobne, posiadające własne gmachy. Młodszy od nich, ruski Bank hipoteczny ziemski, zajmuje się głównie parcelacją. Centralny charakter ma również włościańskie towarzystwo rolnicze „Silskij hospodar”, które znakomite uczyniło postępy, oraz związek towarzystw gimnastycznych i ochotniczych straży pożarnych „Sokół”, zajmujący się zresztą także wszelką pracą kulturalną na wsi, poczynając od teatrów amatorskich, a kończąc na kooperatywie handlowej i kółkach trzeźwości.

Odrębną kategorię tworzą ogniska życia ruskiego wyłącznie lwow-



Ruski dom akademicki we Lwowie.



Cerkiew „wołoska” we Lwowie.



Katedra św. Jura we Lwowie.

skie, o charakterze lokalnym. Obejmują one różne piętra tej niekompletnej zresztą budowy. U dołu działa przede wszystkim cerkiew, instytucja wybitnie narodowa; ma ich Lwów kilkanaście. Dla klasy rzemieślniczej i robotniczej jest parę stowarzyszeń, jak np. dobrze prosperująca „Zorja”, mająca własny gmach. Jest „Ruska zachoronka” (ochronka), zbierająca dzieci z ulicy i wychowująca je w duchu narodowym ruskim. Kobiety ruskie tworzą „Żinoczą hromadę”, stowarzyszenie pań dla różnych prac patriotycznych, i „Trud”, organizację utrzymującą wielkie warsztaty pracy dziewczęcej, w gmachu własnym. Nauczyciele szkół wyższych skupieni są w stowarzyszeniu „Uczytelska hromada”, prawnicy mają „Krużok prawniczy”, nieliczni technicy założyli ruskie Tow. politechniczne. Dla życia towarzyskiego istnieje klub „Ruska besida”, w której bawią się, oczywiście, sami ukraińcy. W ostatnich czasach wreszcie powstało stowarzyszenie specjalne o wymownej nazwie „Lwiwska Ruś”, które reprezentuje ideę — odpolszczenia Lwowa.

„Lwów ruski” czyni istotne postępy.

Złożyła się na to rosnąca żywotność społeczeństwa ruskiego, która nie mogła nie zaznaczyć się w stolicy kraju, lecz złożyły się na to także czynniki innej natury. Przyspieszone tempo swego rozwoju zawdzięczają rusini galicyjscy w bardzo znacznym stopniu dzisiejszemu metropolie cerkwi unickiej. Na malowniczym, wysoko nad miastem wzniesionym wzgórzu św. Jura, w cieniu rokokowej katedry, rezyduje ten książę kościoła, chimerycznie marzący o nawróceniu Rusi prawosławnej na unię, niewidzialny dla tłumu, a wszędzie obecny, gdzie w grę wchodzi interesy ruskie. Swoją duży talent polityczny, stosunki osobiste, majątek, energię niepospolitą,

wszystko to oddaje w służbę tych interesów. Ks. Andrzej Roman Szeptycki był polakiem. Urodził się w polskim szlacheckim dworze, wśród żywych polskich tradycji, z matki, która była córką Aleksandra Fredry. W Krakowie, pod Wawelem, upłynęła mu młodość. Jako dojrzały mąż, ks. Szeptycki przywdział mniszy habit Bazylianina, a wraz z nim z nieporównanym talentem zamienił duszę polską na ruską, ulegając nieznanym jakimś motywom, może tej chimerze, iż zdoła dla Rzymu pozyskać wschód dyzunicki. Na stolcu metropolitalnym, jako były polak, budził nieufność wśród rusinów, lecz umiał ją rozwiać rychło bezgranicznym oddaniem się narodowej sprawie ruskiej. Jego szczodrość na ruskie cele kulturalne jest znaną powszechnie. Jego to zawsze otwarta dłoń wznosi całe instytucje, funduje muzea i szkoły, wychowuje zastępy młodzieży. Jego to świeży, neofityczny patriotyzm ukraiński jest znakomitą współtwórcą dźwigającego się „Lwowa ruskiego”.

Rozwój narodowy Rusi galicyjskiej nie powinien wzbudzać w nas niechęci. Nasi zwaśnieni z nami pobratymcy korzystają ze swego dobrego prawa do życia, przysługującego im równie, jak nam. Rozterki dzisiejsze nie przesadzają też bynajmniej jakichś form współzycia

w przyszłości, gdy się i wspólne interesy odnajdą. Lecz rola ks. Szeptyckiego w tym rozwoju Rusi galicyjskiej musi być mierzona przez nas inną miarą. Bez względu na pobudki, ten „były polak” musi być uznany za odstępcę, który uciekł nieszlachetnie z szeregów własnego narodu, w czasach, gdy losy naród ten najciężej doświadczają. Człowiek o duszy rycerskiej tem silniej trwa przy sztandarze, im bardziej on zagrożony — ks. Andrzej Szeptycki nie miał tych naiwnych skrupułów. Ze zręcznością żonglera zmienił swą przynależność narodową. Polski Lwów, który drogim musiał być wielkiemu dziadowi ks. Szeptyckiego, polski Lwów, w którym nieśmiertelny autor „Zemsty” żył i tworzył, najskuteczniej uszczuplany bywa przez jego wnuka.

Rusinów przybywa we Lwowie. Rzecz znamienna, że gdy we wszystkich innych miastach Galicyi wschodniej i w całej tej wogóle polaci kraju odsetek ludności ruskiej obniżył się w ostatnim dziesięcioleciu na korzyść naszą, to wzrósł tylko we Lwowie. Przed laty 20 ludność ta tworzyła 16% ogółu mieszkańców, dziś tworzy 19%. „Lwów ruski” wyraża się cyfrą: 38.000 dusz.

Mimo to — nie znać rusinów we Lwowie. Nie słychać ich na ulicy, ani w lokalu publicznym, w sklepie, ani w urzędzie. Ludność ruska tworzy przede wszystkim warstwę uboższą, przedmiejską. Znaczny stosunkowo zastęp instytucji ruskich, to przeważnie instytucje centralne, mające tu swą siedzibę, lecz działające za murami miasta. I przeciw temu Lwowowi ruskiemu stoi trzykroć liczniejszy polski — trzykroć silniejszy liczebnie, a bez żadnego porównania silniejszy kulturą. W zestawieniu z wielkimi ogniskami życia polskiego, starego i bujnego, odżywianego wspaniałą tradycją wielu wieków, młode ogniska



„Dom Narodowy” we Lwowie.

ruskie schodzą do rzędu skromnych, ledwie widzialnych płomyków. Konstytucyjny wiatr sprzyja ich żywotności. Będą strzelały wyżej i mnożyły się. Lecz i nasz rozwój ma drogę otwartą, i tem cenniejszy będzie, im mniej sztuczny. Namiętność dzisiejszej walki nie musi być stanem normalnym. Wolno wierzyć, a należy dążyć, by barbarzyńskie zwalczanie się dzisiejsze ustąpiło miejsca współzawodnictwu — któż wie, może współdziałaniu w imię wspólnych celów? Że celów tych nie dostrzega oko, przesłonięte gorączką walki, nie znaczy to, aby ich nie było.

Na ulicach Lwowa nie słychać języka ruskiego. Lecz jakże gęsto słychać niemiecką charakterystyczną o rodzimym naszym odcieniu. Wrażliwość na nią stępiła się i nam, i rusinom — przechodzimy mimo niej, nie zdając sobie sprawy, że dźwięki te, to echa wielkiej, obcej siły, która narasta na organizmach obu zapamiętałych w walce, obu niszczących się nawzajem słowiańskich niewolników.

W czasie krótkiego pobytu we Lwowie, po latach niebytności, zdarzyło się pisać tu słowa zająć do jedynej ruskiej kawiarni w jedy-nym ruskim hotelu Lwowa. W wielkim salonie, urządzonym z tanią elegancją wiedeńską, późną wieczorną godziną panował natłok gości. Tu język ruski rozbrzmiewał już niepodzielnie. Zażywni księża z prowincyi i lwowscy inteligenci ruscy z żonami i córkami napelniali salę wesołym gwarem. Nie mogłem na tym neutralnym terenie wzbudzić w sobie ani krzty niechęci do tych ludzi, tak przecież blizkich typem, temperamentem, językiem. Gdyby nie głośna rozmowa, można było sądzić, że jest się wśród swoich. Ale od ogólnego tła odcinała się w sposób zupełnie zdecydowany — służba lokalu. Kelnerzy o semickim typie uwijali się z nerwową ruchliwością wśród tłumu tych ruskich zdobywców Lwowa. Zaiste, symboliczna służba! A za chwilę zabrzmiała z głębi sali melodia tandetna, jak cała wiedeńszczyzna tej kawiarni. Salonowa orkiestra urozmaicała siestę naszym ruskim współmieszkańcom. Spojrzałem na artystów. I ci także — semici.

Nieodłączni, nieuniknieni, jak cień.

Widziałem prawdziwych zdobywców Lwowa, Rusi i Polski.

Lwów.

A. Ch.



Przełom w prawoznawstwie.

W programie V-go Zjazdu prawników i ekonomistów polskich (obradującego w swoim czasie we Lwowie) umieszczone zastało, między innemi, zagadnienie „stosunku sędziego do ustawy”. Dla laików temat ten mówi niewiele i robi, zapewne, wrażenie czegoś bardzo „specyalnego”. W rzeczywistości chodzi tu o szeroki prąd naukowy, ogarniający coraz silniej Europę zachodnią i zmierzający do reformy całej jurysprudeneyi. Reprezentowany zrazu przez nielicznych teoretyków, uzyskuje coraz liczniejsze szeregi zwolenników, przedostał się obecnie do sfer nie-prawników i stał się kwestyą aktualną. Zwłaszcza na terenie niemieckim uwydatnia się szybki rozwój nowego kierunku. Literatura odnośna wzrasta z każdym rokiem, zjawiają się odpowiednie czasopisma, organizują się stowarzyszenia, tworzone są specyalne katedry uniwersyteckie.

Na czem polegają nowe dążenia? Do czego zmierzają nowe postulaty? Można by to sformułować krótko: do **uspołecznienia prawoznawstwa**.



K. Jhering (1818 — 1892). Znakomity prawnik niemiecki, naczelny przedstawiciel „pozytywizmu” i „celowości” w prawoznawstwie.

Nie prawa, tylko prawoznawstwa. Chodzi bowiem w pierwszej linii nie o postulaty *de lege ferenda*, lecz o sposoby pracy naukowej prawników na gruncie ustaw obowiązujących, o metody jurysprudeneyi *de lege lata*. O metody postępowania sędziego przy stosowaniu ustaw, a dalej, o metody prawoznawstwa wogóle, które jest przeważnie pracą przygotowawczą i posiłkową dla należytego wymiaru sprawiedliwości. Chodzi zatem w nowych dążeniach o reformę metod całej jurysprudeneyi współczesnej, o usunięcie logizmu abstrakcyjnego, nie troszczącego się o rezultaty praktyczne, o nadanie prawoznawstwu charakteru społecznego, uwzględniającego życie faktyczne i jego potrzeby.

Ażeby zrozumieć istotę nowego prądu, musimy zdać sobie sprawę ze stanowiska tradycyjnego.

Jedną z podstaw teoretycznych ustroju państw nowożytnych jest nauka Montesquieu o podziale władzy państwowej na ustawodawczą, wykonawczą i sądową. Nie została ona wprowadzie zupełnie konsekwentnie przeprowadzona (wyjątek przedstawiają Stany Zjednoczone), niemniej jednak zasada uniezależnienia władzy sędziowskiej od ustawodawczej

i wykonawczej stanowi obecnie czynnik podstawowy w organizacyi władzy państwowej.

„Wolność polityczna obywateli, mówi Montesquieu, polega na tym spokoju umysłu, który wynika z przekonania o własnem bezpieczeństwie. Nie istnieje wolność tam, gdzie władza sędziów nie jest oddzielona od władzy ustawodawczej i wykonawczej. Gdyby została przydzielona do władzy ustawodawczej, moc nad życiem i wolnością obywateli stałaby się samowolną, bo sędzia byłby ustawodawcą. Gdyby została przyłączona do władzy wykonawczej, sędzia mógłby posiadać siłę ciemności-ciała”.

Skutkiem takiego pojmowania, Montesquieu wyznacza sędziemu rolę całkiem bierną. Ma on jedynie znać dokładnie ustawę i stosować jej przepisy. Każdy wyrok ma być tylko ścisłym odbiciem ustawy. „Sędziowie narodu są jedynie ustami, które wymawiają słowa ustawy, istotami bez duszy, które nie mogą złagodzić ani ich siły, ani surowości”. Prawnik na krześle sędziowskim staje się maszyną, aparatem subsumcyjnym, podciągającym wypadki życiowe pod odpowiednie przepisy istniejące.

Pogląd powyższy jest charakterystyczny dla racjonalizmu epoki oświecenia, zapatrującego się bardzo sceptycznie na naturę ludzka i widzącego w niej jedynie egoistyczne i ujemne pierwiastki. Ażeby ochronić społeczeństwo przed samowolą sędziów, należy działalność tych ostatnich uniezależnić od ich charakteru, wydobyć na czoło pierwiastek umysłowy (decydujący dla racjonalizmu), oprzeć wszystko na intelekcie, kierowanym przez ustawę. Przylączył się do tego kult dla ustaw, właściwy owemu czasowi, który znalazł swój wyraz w konstytucyach francuskich i kodyfikacyach napoleońskich.

Zachodzi jednak pytanie, co czytać należy w wypadkach, przez ustawę nie przewidzianych? Ustawodawca nie jest w możności uregulować wszystkich wypadków, mogących zająć w przyszłości, nie może znać warunków technicznych i ekonomicznych stanu kulturalno-społecznego, który wytworzą następne lata. Kodeksy cywilne trwają stulecia, a życie ustawicznie się zmienia, warunki techniczno-ekonomiczne się modyfikują i jest rzeczą oczywistą, że żaden ustawodawca nie jest w możności przewidzieć przyszłych ukształtowań społecznych. Czy mógł kodeks Napoleona przewidzieć zastosowanie elektryczności i wszystkie stosunki, jakie na tem tle wynikną? Czy mógł uwzględnić rozwój produkcji fabrycznej i nowożytnych środków komunikacyjnych? Stoimy wówczas wobec faktu luk w prawie,

A obok tych luk absolutnych, co do których nie znajdujemy żadnych wskazówek w ustawie, jakże olbrzymia jest ilość „luk względnych“, czyli wypadków, dopuszczających możliwość rozmaitych decyzji. Można śmiało twierdzić, że większość sporów, rozgrywających się przed sądem, wylania „luki względne“, mogące być różnie wypełniane. Zachodzi więc znowu pytanie, czem się kieruje sędzia, subsumując dany wypadek życiowy pod takie lub inne pojęcie prawne, zastosowując interpretację rozszerzającą lub zwężającą, skłaniając się do takiego lub innego wyroku?

Metoda tradycyjna znajdowała odpowiedź na te trudności, opierając się na „fikcji“ doskonałości ustaw obowiązujących (brak luk, kompletność systemu prawnego). Wślad za Montesquieu uznawała, iż dla sędziego, jak również teoretyka-prawnika, jedynie miarodajną i decydującą jest „wola ustawodawcy“. Jeżeli w ustawie nie znajdujemy jej, w sposób jasny wyrażonej, w takim razie winniśmy szukać „woli przypuszczalnej“, również z ustawy wynikającej. Metoda tradycyjna neguje istnienie luk w ustawie. Ustawa przedstawia zaokrągloną całość, regulującą daną sferę życia w sposób wyczerpujący. Należyćie rozumiana i odpowiednio interpretowana ustawa dostarcza wszelkich żądanych rozwiązań prawnych.

Przeciw temu kierunkowi prawnoznawstwa, opierającemu się jedynie na ustawach oraz logicznych konstrukcjach i wnioskach, występuje w latach ostatnich bardzo żywa opozycja. Za ojca duchowego i pierwszego przedstawiciela prądu nowego, liberalnego, można uważać znakomitego prawnika *Jheringa*, który zrazu hołdował metodzie tradycyjnej i dopiero później bardzo silnie i, jak na czasy ówczesne, radykalnie przeciw niej wystąpił. Już w trzeciej części jego słynnego dzieła „*Geist des römischen Rechts*“ znajdujemy rozdział, poświęcony przecenianiu znaczenia elementu „logicznego“ w prawie. Ów kult dla logiki, który pragnie z jursysprudencji uczynić rodzaj matematyki prawnej, uważa on za nieporozumienie i zapoznanie istotnej natury prawa. Nie życie istnieje dla pojęć, tylko pojęcia dla życia. Nie to winno mieć miejsce, czego żąda logika, lecz postulaty życia, obrotu, poczucia prawnego, bez względu na to, czy się w teorii wydają logiczne, czy też niemożliwe. Podczas gdy rzymscy prawnicy idą po drodze konsekwencji tylko do granic, nakazanych przez potrzeby praktyczne, i przy logice prawnej zawsze mają na oku samo życie, współczesne prawnoznawstwo nie zna tych względów i dochodzi nieraz do rezultatu zupełnie sprzecznego z samym celem prawa. Dlatego we wstępnym, programowym artykule wydawanego przez niego czasopi-

sma rzuca *Jhering* hasło: „*Durch das römische Recht, über das römische Recht hinaus!*“ Ta zasadnicza dla *Jheringa* myśl o „celu“ w każdym prawie stała się przewodnią dewizą pozytywną kierunku liberalnego.

W ostatnich latach liberalizm prawny uzyskał liczne szeregi zwolenników i bardzo bogatą literaturę, przyczem wysuwa się na plan pierwszy kapitalne dzieło francuskiego profesora Gény (ucznia świeżo zmarłego Saleilles'a, który był jednym z pierwszych przedstawicieli i propagatorów nowego prądu we Francji) pod tytułem: „*Méthode d'interprétation et sources en droit privé positif*“ (1899).

Liberalizm podkreśla zasadę „celu“ każdej ustawy, która jest jedynie środkiem dla zaspokojenia potrzeb społecznych. Ponieważ ustawodawstwo zawiera liczne luki, sprzeczności, niedokładności, przeto wypełnianie tych braków winno być przeprowadzone z punktu widzenia teleologicznego, mianowicie—słuszności i pożytku społecznego. Ustawa nie jest celem sama w sobie i logiczna doskonałość systemu nie jest celem prawnoznawstwa. Jeżeli sędzia nie znajduje wyraźnego przepisu ustawy, w takim razie winna mu być pozostawiona zupełna swoboda w wyszukaniu normy najodpowiedniejszej. *Freie Rechtsfindung! Libre recherche scientifique!* Nie przez abstrakcję i analizę logiczną, nie w drodze konstrukcji misternych winien sędzia znaleźć właściwą decyzję, lecz przez dokładną znajomość życia społecznego i jego potrzeb. Korzyść społeczna i sprawiedliwość winny stanowić jego dyrektywy. W ten sposób działalność sędziego staje się analogiczną do czynności ustawodawczej, z tą różnicą, że decyzya sędziego nie tworzy normy ogólnej, tylko szczegółową, dla regulowanego wypadku.

Wobec tak szeroko pojętych zadań sędziego i wogóle prawnika obowiązek należytego im odpowiedziowania staje się istotnie trudnym. Sędzia nie może ograniczyć się do dokładnej znajomości ustaw i literatury odnośnej, winien wychylić się poza rany gabinetu urzędniczego i zbliżyć się do samego życia. Tylko gruntowna znajomość stosunków społecznych, dokładne badanie faktów i danych może umożliwić wydanie właściwego wyroku. Niezbędne tu jest oryentowanie się we wszystkich tych czynnikach, które wytwarzają kulturę nowoczesną, a więc znajomość zarówno faktycznego ustroju politycznego, leżącego u podstawy wszystkich instytucji, wyrażającego się w ustawach i zwyczajach, zarówno współczesnej organizacji ekonomicznej, jak idei moralnych, religijnych, działających w społeczeństwie i domagających się uwzględnienia.

Liberalizm prawny żąda wprowadzenia czynników społecznych w

wyżej podanem znaczeniu również do studyów uniwersyteckich. Występuje on przeciw jednostronnemu historyzmowi i „jursysprudencji pojęć“, żądając większego uwzględnienia dzisiejszych stosunków społecznych.

Ażeby nadać prawu charakter społeczny, należy je zdemokratyzować, zbliżyć do szerokich mas. Prawo winno być, z jednej strony, ubrane w formę dostępną i zrozumiałą dla wszystkich warstw, z drugiej—winno co do treści być wykładnikiem świadomości prawnej społeczeństwa i w ten sposób zachować ścisły kontakt z narodem. Obecne prawnoznawstwo wytworzyło szeregi swego rodzaju arystokratów duchowych, kastę odrębną, nie rozumianą przez ogół i tego ogółu nie rozumiejącą. Należy dążyć do stanu, istniejącego niegdyś w Rzymie. Zaufanie i kult dla prawa może powstać tylko na tle jego znajomości.

We wszystkich postulatach (a przedstawiłem tylko najważniejsze) przebiega się jedna myśl zasadnicza, stanowiąca punkt wyjścia i podstawę nowego kierunku. Prawo uważa się za środek dla zaspakajania potrzeb społecznych, stąd prawnoznawstwo winno opierać się nie na logizmie abstrakcyjnym, lecz na teleologizmie socjalnym. Celowość społeczna i sprawiedliwość winny stanowić dyrektywy dla jursysprudykcyi.

Na idący ku nam z Zachodu prąd „uspołecznienia prawnoznawstwa“ winniśmy zwrócić baczną uwagę, gdyż posiada on specjalne znaczenie dla narodów bezpieczeństwa, których świadomość prawna, odrębne potrzeby społeczne były dotychczas zarówno w teorii, jak w praktyce kompletnie ignorowane. *)

Heidelberg. Dr. A. Peretiatkowicz

Miss Wakana Utagawa w Warszawie.

Na dorocznej recepcji wiosennej u barona Kato, ambasadora japońskiego w Londynie, złotem clou całego wieczoru była bezsprzecznie produkcja młodzieńczej dziewczyneczki z najdalszego Wschodu na przedziwnym instrumencie, zwanym zwieźle: koto. Instrument ten o krótkiej nazwie, ale niepomiernie długim kadłubie, rozłożono na dywanie, a filigranowa wirtuozka koto, siedząc na miękkich poduszczykach, odegrała na nim z tajemniczą maestryą jakowyś brzęcząco-szeleszczący Hymnus do Shiwy, ku ogólnemu podziwowi dyplomatycznej society first class, zebranej w gościnnych apartamentach pałacu prawnika samurajów. W kilka dni potem to samo dziewczę z Nipponu dostąpiło zaszczytu zaprezentowania sa-

*) Obszerniejszą analizę i ocenę krytyczną nowego kierunku uczyniłem w pracy „Prąd nowy w prawnoznawstwie“. Lwów. 1912, stronic 51.



W buduarze.



Dama.

memu synowi pierwszego gentlemana Europy i jego małżonce, królowej Aleksandrze, swej innej sztuki, malarskiej. I tu znów podziw sympatycznej pary królewskiej i całego dworu angielskiego był dla Dziewczyny z dalekiego Wschodu najmiłszą nagrodą za jej rekordowo już szybkie odtwarzanie motywów, zapamiętanych z szarego niby życia na niewielkich skrawkach kornie podatnego błyszczącego jedwabiu. I od tego dnia dziewczę podwójnie utalentowane stało się jedną z gwiazdek of season, 1912 roku. Wystawa jej prac, skompletowanych w bardzo wybrednej Bailie-Gallery, zainteresowała tych wszystkich, którzy w Londynie zajmują się mongolskim barokiem, tych wszystkich, co za przewodem duchowym Lafcadio-Hearna ukochali uroczą kunsztowny świat Nipponu, co uwierzyli w ewangelie estetyczne Goncourtów czy L. Gonsego, Pierre Lotiego lub naszego apostoła - hypochondryka, F. Jasińskiego.

Milutka *yamabuki*, żółta różyczka z kraju, nad którym dymi od wieków niezmordowanie uwieczniany Fudzijama, zyskała od razu firmę, autorytet, sławę, a nazwisko jej powtarzano sobie z ust do ust: Wakana Utagawa.

Obecnie artystka ta przebywa dziwnym losu trafem od dłuższego już czasu w Warszawie, korzystając z polskiej gościnności, a dnia 1 lutego otwiera w Zachęcie wystawę tych swych prac, swych szkiców, ilustracji kakemonów, które jeszcze ocalały przed mecenasowską zaborczością

i chciwością na rzeczy piękne synów i córek wszechmocnego Albionu.

Miss Utagawa nie wykwiła w swej rodzinie, jak kwiat agawy jeden na sto lat. Pochodzi ona z dynastii artystycznej; jest malarką z rodziny malarskiej już od szóstego wstecz pokolenia. Kunimine, jej ojciec, miał rodzica w Kunisadzie. Ojcem pradziadka Toyoharu był przesławny Toyokumi, mistrz i założyciel dynastii. Nazwisko Toyokumi w sferach nipponologów jest dźwiękiem autorytatywnym. Można sobie wyobrazić radość entuzjasty japońskiej sztuki, a dziś najfundamentalniejszego jej znawcy, Artura Morrisona, kiedy zagrzeban w studyach nad Toyokumim, ujrzał raz na progu swego studio w Londynie drobne dziewczę, prezentujące się, jako najmłodszą praprawnuczką Toyokumiego, i rozwijające przed nim miłe rolki, pełne własnych kakemonów. I to małe dziewczę przyjechało do Londynu, bardzo blado znając angielszczyznę! samo! wybrało się na swój najdalszy zachód na Wystawę, do Shefferds-Bush—tylko z kuframi, pełnymi swoich własnych kompozycji, od 7 roku życia już rzucanych na papier i jedwab. To dziecko, dziedzicznie obciążone talentami malarskimi



Fot. Fuksa.

Miss Wakana Utagawa.

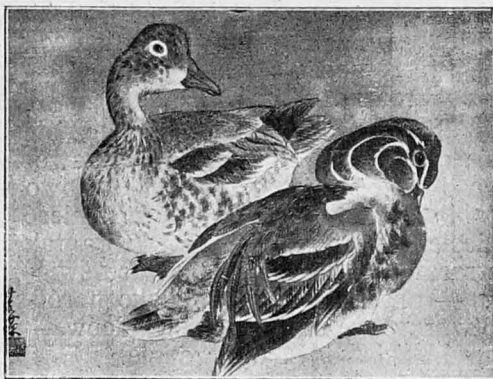


Tragarz.

mi, przełamało wszelkie konwenanse surowego życia rodzinnego, zdecydowało się na krok stanowczy i popłynęło w świat, do Anglii, do Europy, do ludzi białych. I zwyciężyło. I dało przykład już zapewne całemu szeregowi japońskich misseczek, jak się jedzie do Europy, jak się zdobywa sławę, jak mocno i wytrwale dąży się do ideału swej sztuki, jak można „dać sobie radę” i nagiąć świat do siebie, jeżeli się ma jedno: wolę, wolę hartowną, jak niebieskawa stal samurajskiej szablicy. Miss Utagawa nie przeczuwała nawet, że w Londynie zajmie się nią tak serdecznie i gorąco „Klub kobiecy”, i arystokracja, i dwór angielski; wyjechała po szczęście w świat, ryzykując wszystko; w nagrodę za to zyskała wszystko. Z równą swobodą zdecydowała się poznać i ten naród, któremu nazwiska japońskich generałów i admirałów tak głęboko wbiły się w pamięć i który też ongiś miał swoich Oyamów, i Nogich, i Kurokich, nie zdobywszy się tylko nigdy na w japońskim stylu Shogunów.

Miss Utagawa przypisana jest do naturalistycznej szkoły Ukioye. Jest to kierunek, uprzedźmy to zgóry, popularny, nie w znaczeniu faworytalności, ale w sensie ludowości. Nie jest to Wielka Sztuka, ale to jest sztuka doskonała. Jesteśmy już daleko od wieku złotego malarstwa japońskiego. Szkoły Tosa czy Kano wraz ze swoimi plejadami potężnych twórców, zeszyły już w cienie, wielki fantastyczny, historyczny, demoniczny, legendowy styl nieco się przeżył, wypowiedział, zdegenerował. Wielki mistrz Moronobu i jego kunszt realistyczny jest hasłem. Malarstwo schodzi z koturnów, opuszcza nadziemski świat fikcyjny i zstępuje w życie codzienne, czerpiąc tematy z otaczającego świata drobiazgów i szczegółów. Kierunek, który reprezentuje w swej drobnej postaci ba-

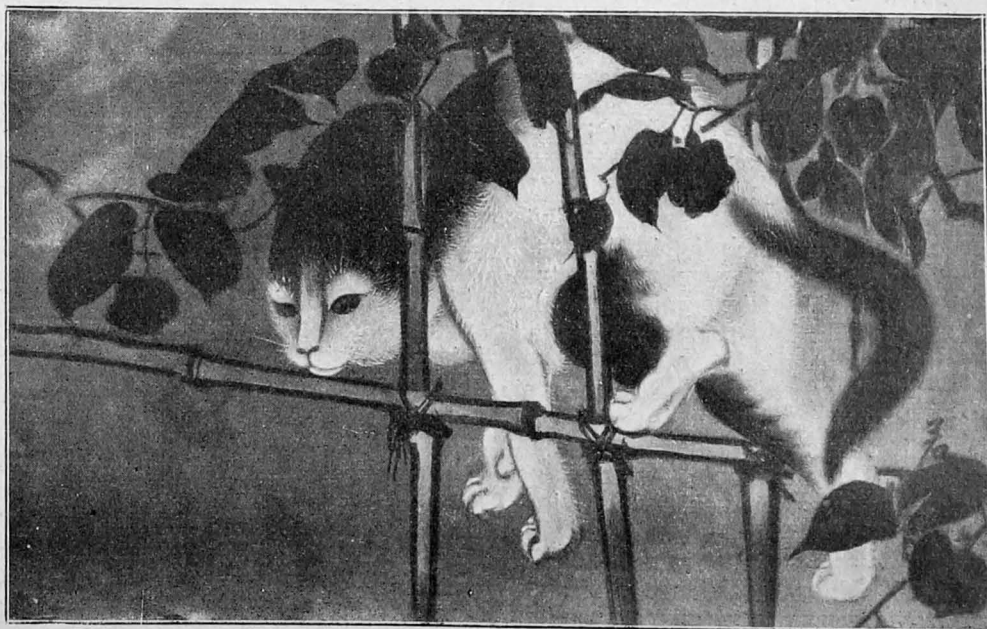
wiać obecnie w Warszawie yamabuki z Nipponu, jest właśnie tym naturalizmem, stosowanym jeszcze do



Kaczki.

młodocianego wieku „panienki z dobrego domu”, jak się to u nas mówi. Panna Utagawa rzuca tedy zuchwale wytrawnymi dotknięciami czarodziej-

skiego pędzla na jedwab obserwowane powierzchownie i rozmyślnie nie głęboko suety błahe i nikłe, ale nie ma tak bagatelno go tematu, z którego nie możnaby przekonać się o dzie-dzicznym już utalentowaniu japońskiej Sonii Kowalewskiej. Czy to będzie małpka czy kaczką, czy małe baby, czy gałazeczka jakiejś luksusowej roślinki, czy scena z życia domowego dam Nipponu, czy cesarz Nintoku w całej swej groteskowej grozie, czy jakieś peonie, azalie, kamelie w doniczkach... czy kogucik, czy parawanik lub pięćsetletni imbryczek — wszędzie przebiega młodociana maestria i technika wprost ekwilibrystyczna. Nie wiem, jakie tam zdanie ferowałby o jej pracach surowy historyk sztuki, sędziwy profesor Taiima; może pełni kultu dla mistrzów szkoły Korina czy Tosa hokyowie będą prace Utagawy uważali tylko za genialne wypracowania panięskie, — w każdym razie, są to rzeczy, choć bez tradycyjnego rozmachu, bez tej upajającej fantastyczności, bez tego oszałamiającego humoru wielkich manierystów, ale o niepowседневnym zmyśle ornamentacyjnym, o pewnej naiwności, zbliżonej swym urokiem omal do Trecen-tystów, rzeczy, wykazujące absolutną dojrzałość talentu w śmiałym sylwetowaniu figur, w lapidarnym kreskowaniu, a przede wszystkim we władczym opanowaniu barwy. Te glazurowe tony, te soczyste czerwienie, te szkarłatowe nuance, te przytłumione zielenie, te malachitowe, indygowo-perłowe blaski, te znużone złotości są najautentyczniej typowo japońskie. wierne starym patrycyuszowskiemu kanonom malarskim, rafinowanie rzadkie, misternie ewokowane, z najstarszych wypelzłych brokatów i adamaszków wymarzone. Czy to będzie wachlarz, czy kakemono, czy ilustracja do którejś z angielskich książek: „Peeps at history Japan” John Finnmore, czy „The Lady of The Decoration” — wszy-



Kocura.

stko, co wydłbie z pod jej sensytywnej rączki, ma najdystyngowańszy ton tej prastarej sztuki, wszystko dale delikatny aromat kraju kwitnących czereśni i wędzących chryzantem. Oby zacny Dajkoku (bożek monety) był tylko dla nas łaskawszym bogiem! Wtedy byśmy bowiem jak

najwięcej listków tej żółtej różyczki z Najdalezszego Wschodu mogli zatrzymać w naszych domach, w naszych studios, na parawanikach naszych saloników... Och, oby Dajkoku był łaskawszy w tym roku!

A. Nowaczyński.



Turcy.

Gdy waga powaszcina zwrócona jest w stronę Konstantynopola, artykuł ten tem żywa powinnam obudzić zajęcie, że autor jego, zamieszkały od wielu lat w Turcyi, należy do najuczciwiejszych znawców tamtejszych stosunków.

„W imię Boga łaskawego i miłosiernego”. „Korzeń Dżihadu w Turcyi: Bóg Ci wykaże, że masz słuszną. Oni są tylko niegodni. Jaka, Bóg wie, czy Bóg, wsłuchiwał w głos i łaskawie słucha, powołując Dżihadczyków”. (III, 4).

Z jakiej to księgi te słowa, tak dziwnie nam bliskie? Któż uczcił tak Dziewicę bez zmary, której nasz naród koronę królewską ofiarował? Mahomet, prorok, z którego słów natchnionych wyrósł naród turecki. I niedość mu było podobnych ustępów, wplecionych w całą księgę nowej wiary. Oto pisze cały rozdział XIX i dale ma tytuł „Marya”. „Wychwalał Maryę w Koranie, wychwalał dzień, w którym oddała się od rodziny swej, by pójść w kierunku Wschodu” (XIX, 16). I po dziś dzień wymawia turek „Marya Hanum” (Pani Marya) z głęboką czcią, zaś Chrystus jest wcieleniem słowa bożego, posłannikiem bożym, technicznie Boga (IV, 169).

Na Ewangelie powołuje się Mahomet często; z nich i z Pięcioksiąg czyni podwaliny religii. Mówiąc o nagrodzie wiernych, powiada, iż Bóg spełni obietnice, dane w tych księgach i. w Koranie (IX, 112). Uznaje proroków hebrajskich i Chrystusa, każe wierzyć w Boga i Jego Apostołów, ale dodaje: „Nie mówcie, iż istnieje Trójca w Bogu. On jest jedynym” (IV, 169). „Ci, którzy mówią, że Chrystus, syn Maryi, jest Bogiem, są niewiernymi” (V, 19). Podzielił Mahomet świat na dwie części: na wiernych i niewiernych, i woła: „Panie, daj nam zwycięstwo nad narodami niewiernymi (II, 286)”. „Wschód i Zachód należą do Boga” (II, 109).

A więc do wiernych. A wierni wiarę krzewić powinni i poświęcać dla niej wszystko. Nagroda wielka czeka ich za szczerzenie wiary, za zwalczanie niewiernych. „O, wierni, walczyć za sprawę Boga; On was wspomaga i utwierdza wasze kroki” (XLVII, 8). „Nieszczęście będzie towarzyszyło niewiernym; ich dzieła pójdą na marne” (XLVII, 9). „Nie okazujcie nigdy trwóliwości.

Nie ofiarujcie nigdy pokoju. Jesteście wyżsi, niżli wasi nieprzyjaciele. Bóg jest z wami. On wesprze wasze zabiegi” (XLVII, 37). „Gdy spotkacie niewiernych, walczyć przeciwko nim tak długo, dopóki nie uczynicie ogromnej rzezi; jeńców okuwajcie w łańcuchy” (XLVII, 4). Oto posiew, z którego wyrósł naród turecki, by wystąpić na widownię dziejową, na której obecnie kona.

Straszna wiara!

Każdy rozdział Koranu zaczyna się od słów „W imię Boga łaskawego i miłosiernego”, a każde słowo zabija. Nietylko niewiernym śmierć niesie ta dziwna księga, która tak strasznie zaważyła na dziejach świata — ona zabiła turek, jako naród. Stworzyła zdobywców i władców — naród zniszczyła w zarodku.

Koran nie ma przypowieści, opowiadań, obrazów, przykładów, któreby pozwalały rozwijać się myśli, rozumowi; nie ma obrazów dziejowych, pełnych wałk, ale i twórczości ducha, sztuki i poezji. Koran jest szeregiem rozkazów. „Niema wątpliwości w tej księdze; ona jest prawem dla tych, którzy boją się Boga” (II, 1). Rozkazy na życie i śmierć, na rzeczy wielkie i drobiazgi. Koran rozkazuje, jak dzielić sprawiedliwie miłość pomiędzy liczne żony i jak pisać akt kupna i sprzedaży, jak nagradzać krzywdę, wyrządzoną wiernemu, i jak niszczyć bez litości niewiernych. Wszystkie potrzeby dość prymitywnego życia przewidywał i na wszystkie dał rozkazy takie wyraźne, iż ani w wątpliwości nikogo nie pozostawił — ani poza te ciasne granice wyjść nie pozwolił, bo tam by się człowiek znalazł bezradnym.

Całość Koranu da się łatwo skreślić: bić niewiernych i używać rozkoszy. I posłali turcy tym torem, bił niewiernych, póki ci się bić dali; używali rozkoszy, póki starczyło bogactw i sił fizycznych. Zdolni do ruchu odśrodkowego, nie posiadali daru rozumnego używania sił do obrony — ni przeciwko wrogom dzie-

jowym, ni przeciwko wyczerpaniu sił, topniejących w ogniu rozkoszy miłosnych.

Zabójcza, straszna religia! Wskazała tylko jeden cel: zwalczanie niewiernych. Poza tem nic, prócz życia dla użycia. Gdy skupienie się sił w Europie położyło tamę postępowi oręża tureckiego, zaniechali wojen, a więc stracili jedyny wyższy cel. Pozostało im użycie, które powoli strawiało siły, marniejące w nieczynności i nieodżywiane świętym dopływem. Dzieje Turcyi wskazują zjawisko, nigdzie się nie powtarzające. Swą wielkość zawdzięcza Turcyi w bardzo znacznej części poturczeniu. Najznakomitsi mężowie Turcyi — to obcy, reneraci. Tysiące jeńców — dzieci wyrastało na zagubę własnej, zapomnianej lub nieznanej ojczyzny, a na sławę Turcyi. Imi, dorośli, szli pod chorągiew proroka, bo ona wiodła do bogactw, zaszczytów, rozkoszy, bo w owych czasach ona jedyna mogła nasycić tych, których krew kipiała żądzą czynów awantur. Wnosili dzielność rozbójników, stawiali się „wiernymi” negatywnie, bo zapierali się własnej wiary, wiary swych ojców, dla islamu, ale zaprzęcający nie mogli wnieść siły ożywczej, siły twórczej do organizacji religijnej, która od samego początku zasklepiła się w zbiorze formułek martwych, zaopatrujących swych wyznawców w przepisy o skończonych formach na wszelkie wypadki i potrzeby życia.

Te siły, czynu żadne, napływały do Turcyi ze wszystkich stron świata. Najliczniejsi byli — słowianie.

Czy ta poprostu ofiernością przyniesiona krwi słowiańskiej nie stała się jedną z ważniejszych przyczyn zguby Turcyi? Dzielni, często do bohaterstwa, posiadający słowianie wóle mało zdolności organizatorskiej. Bić się, jak lwy, umieli często — wyciągnąć trwałą korzyść ze zwycięstw — rzadko. A przytem, w krwi musi pozostać ślad moralnego nastroju, charakter, dusza. Kobiety — niewolnice, wzięte gwałtem z Polski i Rusi do haremów dzikich zdobywców, nie mogły rodzić bohaterów dla ołczyzny ojca — gwałciciela. Jednostki wydobywały się czasem na wyżyny — krocie ginęły w szarzyźnie nizin. Seczecie lub łaska padyszacha wiodły ojca ku zaszczytom, sławie, bogactwu, — dzieci tonęły w zapomnieniu. Mieszała się krew słowiańska, gruzińska, ormiańska, grecka, albańska — rosły pokolenia, w których coraz mniej było krwi tureckiej.

Słowiańska przeważała. Tatarzy zalewali bazyry stambulskie kobietami z nad Dniepru i Dniestru. Piękne rusinki tuczyły się słodyczami, rodziły ładnych chłopców, a że do siódmego roku życia chłopcy chowają się w haremach, więc wychowywali się do marzycielstwa i pieszczot. Gdy dorośli, dzikość w nich się czasem zrywała, szaleli w boju, rozlewali krwi potoki, aby, wróciwszy do

domu, szukać spokoju, rozkoszy, oddać się lenistwu.

Bardzo dużo śladów... Ukrainy pozostało w Turcji.

I żadnego oparcia moralnego, kulturalnego, dziejowego, nawet klimatycznego. Nic z tą ziemią wspólnego nie mieli i nie starali się niczem z nią związać. Potomkowie zdobywców zdobywcami obcy mi się tu czuli. Panować, wyzyskiwać pracę tubylców, ale nie nadto. Wiara utrzymywała pogardę dla pokonanych w jej imię. Pogarda dla kultury europejskiej wzmagala się, dzięki religii, która wszelkiej wiedzy, nie wypływającej z Koranu, stawiała nieprzezwyciężone zapory. Własnej kultury stworzyć nie mogli, bo Koran również czynił ją niepotrzebną. Sztuka ograniczyła się na budowie świątyń. Pramiistrzami w ich najpiękniejszych okazach byli — Grecy. Dziejowo obcy, wiedzieli, iż ze zdobywców ród wywodzi i że ta ziemia była, jest i ma być im poddana, ale obca.

Całość dziejów jaśniała tylko czerwonym blaskiem krwi i pożogi. Dzieje Turcji, to szereg wojen i walk, to pochód niszczycielski wszytkiego, co na tej ziemi kiedykolwiek było. Śladu twórczości, ni ciągłości wysiłków w tych dziejach nie ma. Nazwisk rodowych nie znają i nie znają rodów. Ni kronik rodzinnych, ni wspomnień świetnej przeszłości przodków, ni pałaców starych, sięgających chociażby trzeciego, czwartego pokolenia, nie znajdziesz tu. Ze śmiercią sułtana giną jego ulubieńcy, giną ich rody. Potomkowie toną w szarej masie tłumu bez znaczenia, najczęściej tracą majątki, przepadają bez śladu.

Żadnego podobieństwa z nami.

Wrogami naszymi byli wicki dlagie. Ich napady i wojny podkopały nasz byt. Jedną sułtanką, Roksołanę, przyjaciółką nam była. Selimowa żona, rusinka, pchnęła męża pod Chocim. Innych tyle, co zasiadały u boku sułtanów i paszów, ni jednej zry litości nie miały dla dawnej ojczyzny.

Pada Turcja, ten nasz odwieczny wróg. A jednak... prawie żal nam jej. Był między nami jakiś dziwny związek. Związek przeciwności, ale taki bliski, silny, rzechy się chciało, sympatyczny. Czy dlatego, że i myśmy nadli, jako państwo? My, cośmy Wiednia bronili — i oni, co po ten Wiedeń sięgali! Na polach walk z nimi pisały się wielkie daty naszych dziejów. I Chocim, i Kamieniec, i Żurawno, i Trembowla, i Lwów, i Wiedeń.

Kamieniec!

Turcja rozpada się, ale minaret, wzniesiony w Kamieńcu, trwa, a na nim jaśnieje postać Niepokalanej Maryi, taka smukła, taka wzniosła, jakby rzec chciała, iż właśnie smukły minaret najodpowiedniejszą podstawą dla Niej. A u Dominikanów w tymże Kamieńcu jaśnieje śnieżną marmuru białością kazalnica turec-



Şehzade-paşa, nowy wielki wezyr, mianowany na urząd młodo-turek.

Nazim-paşa, zamordowany w dniu 23-m stycznia przez oficerów młodo-tureckich.



Kiamil-paşa, dyktatorowy i uwielbiany obecnie b. wielki wezyr.

Enver-bey, przywódca młodo-turek, główny sprawca zamachu stanu z 23 stycznia.

ka. I artystycznie, i duchowo najpiękniejsza ozdoba kościoła. Turcy padają pod razami swych dawnych niewolników, a mnie wspomnienie tej ambony trzy wyciska. Wszak to z niej wołał Molla turecki ku wiernym:

„Wychwalcij Maryję w Koranie, wychwalcij dzień, w którym oddała się od rodziny swej, by pójść w kierunku Wschodu”...

W listopadzie 1908, po wznowieniu konstytucji, gdy niemański wśród stronnictw w narodzie ledwie zaczęły się ukazywać, a nadzieja odrodzenia ożywała jeszcze wrywkach, „Związek liberalny Ottomanów”, w oderwie wyborczej, przezeń zblizajace się klęski, a nawołując naród do urny wyborczej dla ratowania ojczyzny, napisał te znamienne słowa: „Państwa drapieżne zaczynają kraść około naszych granic, weszac wiatr, nastawiając uszy i chłubiąc się, iż słyszą bijącą dla Turcji godzinę straszliwą, która wybiła dla Polski w roku 1772”! Nie słuchano przestrogi, a gdy powołany do poprawy ustawodawstwa polak, hr. Ostrowski, wygotował szereg nowych praw, minister sprawiedliwości schował je starannie...

Do pracy wytężonej, twórczej, odradzającej niedolę, muszą się wyczołać z tej części świata, w której ta praca stanowi podstawę bytu.

Karl Engler.

E. Zorjan.

Zamach stanu w Konstantynopolu.



Min. wojny Nazim-paşa leży zabity. 23-lebu w. wezyr Kiamil-paşa błaga o darowanie życia.

Winda.

W kamienicy, gdzie mieszkam od roku, buduje się winda.

Należałoby może raczej powiedzieć, od roku budują windę, ale wyrażenie „buduje się”, jeśli nie jest zupełnie zgodne z duchem języka polskiego, posiada wzamian tę wielką zaletę, że znakomicie charakteryzuje polski sposób prowadzenia robót.

Przez rok można się wiele nauczyć. To też technika budowy wind nie ma dziś już dla mnie tajemnic. Po dawnemu cłapię się na swoje czwarte piętro piechotą, z tą tylko różnicą, że przeważnie staram się chodzić kuchennymi schodami. Ale od biedy potrafiłbym już sam wybudować windę. Mam więc jakby drugi kawałek chleba w rękę.

I co najważniejsze, poznałem robotnika polskiego. Przyjrzałem mu się zblizka, nauczyłem go się kochać i cenić. Rzecz to nie do wiary, jak my się mało znamy nawzajem. Mówi się: „trud, lud, robociarze, fundament przyszłości”, a w gruncie rzeczy są to dla nas zupełnie egzotyczne pojęcia. Dopiero jakieś przedsięwzięcia kulturalne, w rodzaju nadbudówek, zakładania wind, malowania schodów i t. d., pozwalają nam wejść w kontakt uczuciowy i zbliżyć się nawzajem.

Pewnego rodzaju powolność robót wychodzi więc nam jedynie na dobre. Zapewne — gdyby windę założono w trzy czy cztery miesiące, jeździłbym nią już oddawna, ale ileż bym zatracił przez to cennych spostrzeżeń, pozwalających mi wnikać nieco głębiej w psychologię naszego ludu miejskiego.

Robotnik polski jest z natury rzeczy koleżeński. To też nigdy nie bywa przy pracy odosobniony. Gdy coś robi, np. wbija gwóźdź w deskę, zawsze znajdzie trzech czy czterech towarzyszy, który pracy jego przyglądają się z zaciekawieniem. Śmiało twierdzić można, że niema tak drobnego szczegółu robót, który byłby wykonany bez tej koleżeńskiej kontroli. Daje ona gwarancję sumienności. O gwoździu, wbitym w ścianę, pod okiem trzech czy czterech fachowców, można powiedzieć, że jest wbity — naprawdę. Bo tu już wchodzi w grę miłość własna. Gdy człowiek wie, że na robotę jego patrzą, wszystkich sił dokłada, aby wykonać ją jaknajlepiej.

Zwłaszcza, ludzie tak ambitni, jak nasi robotnicy.

Ambicyja jest nieodłączną cechą artystycznego temperamentu. A w każdym z robotników naszych tkwi coś z artysty. I to jest bardzo sympatyczne. Ale stokroć sympatyczniejsze jest jeszcze, że nawet artystyczne zapędy starają się trzymać na wodzy, gdy chodzi o dobro pracy. Robotnik polski wie, że nie powinno się

nigdy robić dwóch rzeczy naraz. Więc mimo, że wszyscy lubią i umieją śpiewać i gwizdać, nigdy nie śpiewają ani gwizdzą przy robocie. Gdy któremu przyjdzie ochota, aby wyrzucić jakąś melodię z siebie, odkłada pracę. I robocie, i finezyi śpiewu wychodzi to tylko na dobre. A śpiewać lubią i śpiewają dużo. Stąd pochodzi zapewne polskie wyrażenie, że coś się robi „śpiewająco”...

Drugą cechą artystycznego temperamentu jest instyktowna wytwórczość. Cechę tę robotnicy nasi posiadają w wysokim stopniu. Ot, choćby taki przykład. Wchodzę do sieni, pośrodku schodów stoi biała, rozkraczona drabina, a na niej siedzi przystojny młodzieniec w różnokolorowym i niecałym ubraniu. Ma typowo słowiański wyraz twarzy, płowe włosy, melancholijną zadumę w oczach. Między szczeblami drabiny kołusze się kubek jakiejś bardzo kolorowej farby, dwa także kubły stoją na ziemi, za nimi szaflik z wodą, deska, wiecheć i kawałek drutu. O parę stopni wyżej pod ścianą stoi drugi młodzieniec, który, porzuciwszy chwilowo swoją robotę, przygląda się pracy towarzysza. Sytuacja wyjątkowa, bo powinno się przyglądać trzech, ale mniejsza o to. Obaj tak są pochłonięci: pierwszy pracą, a drugi niema jej kontemplacją, że w pierwszej chwili nie widzą mnie wcale. Odzywam się grzecznie:

— Może panowie by mnie przepuścili.

Nic. Serce rośnie w człowieku na widok takiego oddania się obowiązkowi. Chrzakam. Nic. Zbliżam się do drabiny i, zadzierając głowę do góry, powtarzam głośnie:

— Może panowie byliby łaskawi mnie przepuścić.

Tym razem efekt jest piorunujący. Młodzieniec, który trwał w niemej kontemplacji, odskakuje, jak oparzony, od ściany.

— Antek, nie widzisz, że jaśnie pan chce przejść. Dlaczego ty jaśnie pana nie przepuścisz? Cóż ty myślisz, że jaśnie pan to taki drań, jak ty...

Z tonu czuć, że już to samo, że mnie zatrzymali na chwile, zadrasnęło niemile jego poczucie taktu towarzyskiego.

Drugi robotnik schodzi powoli z drabiny, odsuwa ją, nie śpiesząc się — wszystko trzeba zrobić sumiennie — i ze swej strony strofuje towarzysza.

— Wicek, nie pluj że teraz. Przecież o mało jaśnie panu na kapelusz nie plułeś.

A to jest nieprawda. Bo Wicek pluł co najmniej o pół łokcia od mego kapelusza. Uwaga jego kolegi dowodziła tylko subtelnej troski o pewien wykuint zachowania.

Gdy wchodzę na drugą kondygnację schodów, słyszę za sobą mrukliwe:

— Włóczą się i włóczą, cholery, jakby to schody były do łażenia... pra-

cować tylko człowiekowi nie pozwalają.

Praca — rzecz święta. Trudno mi się o to obrażać. Sam jestem wściekły, ilekroć mi kto w robocie przeszkadza. Na drugim piętrze druga drabina. Powtarza się ta sama scena. Najgorzej jest trafić na drabinę niezaludnioną, bo samemu usunąć jej nierodobną z racji groźnego kubła, a robotnik, którego by się chciało dla takiego drobiazgu trudzić, czułby się strasznie obrażonym. Trzeba więc albo zdać się na łaskę losu i czekać, albo starać się koło drabiny prześlizgnąć. Ostatecznie, lepiej poczekać, bo zauważyłem, że o ile farba nie chce się trzymać ścian, o tyle znakomicie lgnie do ubrania. Mimo wszystkie drabiny jednak, potknęcia się i t. d., absolutnie w ciągu trzech kwadransy na czwarte piętro wejść można.

Temperament artystyczny rzadko chodzi w parze z matematyczną logiką. I znów, gdy się chce to rzadkie połączenie odnaleźć, trzeba się zwrócić do miejskiego ludu. Na dwa miesiące przed rozpoczęciem robót windowych stróż przestał zamiatać schody, sień i podwórze. Gdy mu robił z tego powodu wyrzut, uśmiechnął się pod wąsem i odparł spokojnie:

— A pocóż mam sprzątać, kiedy i tak za dwa miesiące zaczną robić i zrujnują wszystko.

Zaznaczam, że było to powiedziane bez gniewu, z tym właśnie spokojem, jaki daje wewnętrzne głębokie poczucie swej racji. Z repliki tej należy jeszcze drugi rys charakterystyczny wyciągnąć: niechęć polskiego ludu do robót czasowych, przemijających. U nas, nawet, zamiatając podwórze, stróż chce, żeby to było nazawsze.

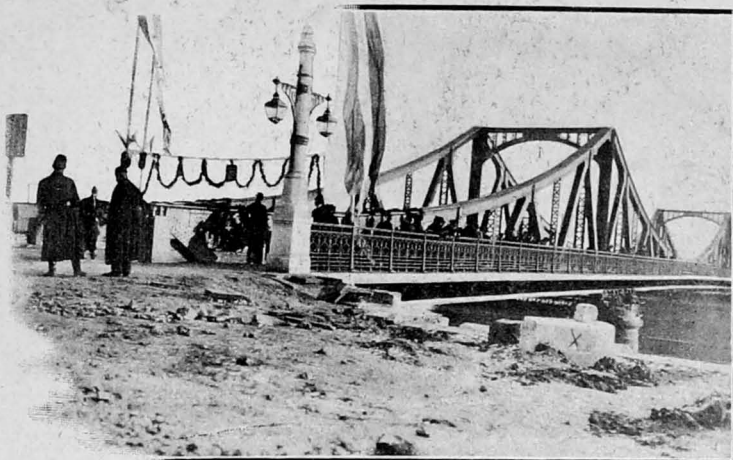
W rezultacie, póki nie było o windzie mowy, wchodziłem do siebie na górę w dwie minuty cały i zdrow. Obecnie potrzebami na to trzech kwadransy czasu, zmarnowałem dwa palta, stłukłem raz kolano, raz głowę i trzy razy rękę. Ale ponieważ wszystko ma swój kres, więc i winda będzie kiedyś skończona. Dzięki pośpiechowi, z jakim wówczas będę się do mieszkania dostawał, obecna strata czasu wyrówna się powoli. A palta przydadzą mi się na maskarade.

W. Perzyński.

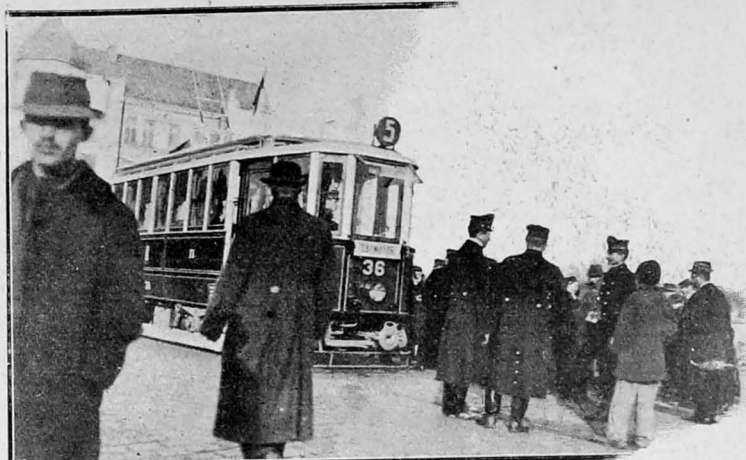
Od Redakcyi.

Nowoprzybywający od 1-go stycznia prenumeratorowie mogą na żądanie otrzymać bezpłatnie początek powieści J. Weyssenhoffa p. t. „Gromada”. Należy się zwracać do administracyi.

Wielki Kraków.



Po otwarciu trzeciego mostu na Wiśle.



Puszczanie pierwszego wozu na nowej linii tramwajowej „Trzeci most—Zwierzyńiec”.

Wybory nowej Rady miejskiej we Lwowie.



Agitacja i reklama wyborcza skoncentrowała się przed ratuszem.

Z nadnewskiej stolicy.

Kartki ulotne.

...Wśród wesołych ludzi petersburskich jednym z najuciesznieszych jest p. Stołypin, bawiący lub nużący czytelników „Now. Wr.” swoimi „uwagami” i umiejętnie opowiadający współbiedniakom mniej lub więcej krotoczwilne anegdoty. W tej zresztą zdolności ostatniej przewyższa go podobno nowy minister spraw wewnętrznych, z którym także na fale polityki domowej wpłynąć ma spory zasób ucieśności. Otóż p. S. w ostatniej swej „uwadze” czy krotoczwili, trudno bowiem odróżnić jedno od drugiego, nawołuje do zdobycia bezkrwawego Austro-Węgier. Bieg wypadków wrazie przekroczenia granicy przedstawia mu się w sposób następujący: Spragnieni ochron nadzwyczajnych i wzmocnionych oraz administracji o pełnomocnictwach wyjątkowych, wsłuchani w zachwycie w hasła nacjonalistów rosyjskich, dążący, a ukrywający dziś przed

ciemiejącą tę szlachetną dążność do wyzbycia się na korzyść zjednoczenia słowiańskiego swoich języków i uczuć narodowych, swoich szkół i świątyń—słowianie austriacy, na wieść o stanowczym kroku na granicy, rozbroją swoich niemieckich towarzyszy broni i z gałazkami oliwnymi w rękę wyjdą powitać wybawców. Nie będzie żadnej potrzeby ani walczyć, ani zwyciężać. Wystarczy zagrać pobudkę, a słowianie, jak stare, wyprzedane oddawna konie pułkowe, zasłyszawszy dźwięki trąbki, zbiegną się zewsząd i karnie czynić będą, co się im rozkaże. „Wszyscy o tem wiedzą”, zapewnia p. S. i dziwi się, dlaczego wypada mu nawoływać do wystąpienia, które rokuje tyle przyjemności bez żadnego ryzyka i powinno stać się samo przez się. Dzieją się na świecie rzeczy istotnie niezrozumiałe dla uciesznych dziennikarzy i... statystów...

...Tłumy ludzi wszelkich stanów, zaśluchane, bijące oklaski. Sala olbrzymia, natłoczona po brzegi. Niezliczeni mów-

cy długo i szeroko uzasadniają prawdę, że, gdzie niema rodziny, tam o wychowaniu w rodzinie mowy być nie może. Mówią wszakże o tem niezmordowanie od kilku dni powołani i niepowołani rzecznicy rosyjscy wychowania rodzinnego, które kształcić winno umysły i serca młodzieży, wszczepiając w nie zamiłowanie prawdy, zasady uczciwości i szacunek dla wielkich ideałów i wspomnień ludzkości. Ale że wszyscy godzą się na istnienie w Rosji wszystkiego, oprócz rodziny i życia rodzinnego, jakie znają inne narody, częstokroć w najrozpaczliwszym położeniu przechowujące właśnie w zaciśnięciu ognisk domowych skarby poniewieranej przez przemoc swojej cywilizacji, przeto jeden z najgoręcej oklaskiwanych mówców wystąpił z wnioskiem stworzenia oto takiego surogatu rodziny: W większych środowiskach zgromadzać się mają zdradzeni mężowie i nieszczęśliwe żony, zawiedzeni w swoich uczuciach kochankowie, cała młodzież starsza, nosząca się z dojrzewającymi zamiarami samobójczymi, oraz w ogólności wszyscy, którzy zawdzięczają swe niepowodzenia, zawody i rozpacz rozkładowi rodziny rosyjskiej. Cała ta rzesza poświęcać się będzie wychowaniu dzieci, których rzec się mają na jej korzyść i dla dobra przyszłych pokoleń rodzice. Nauczni własnym doświadczeniem zropaczeni, neurastenicy i histeryczki staną się pedagogami, jakich słońce nie widziało, i za lat kilkanaście odmłodzone społeczeństwo rosyjskie będzie przodowało światu... Od oklasków aż trzęsła się sala, pomysł bowiem ujął czule serca tysięcznych słuchaczy, z których każdy czuł się pierwszorzędnym wychowawcą, pionierem nowej, najnowszej i najdoskonalszej pedagogii. Nie zauważono nawet, że wniosek oddawna wszedł już w Rosji w życie, bo gdzie oddawna ogniska rodzinne, z nielicznymi wyjątkami, zagasły, tam już dziś wychowanie młodych pokoleń należy do tych, którzy sami nigdy z tych ognisk ciepła i światła nie brali i którzy zgromadzili się oto na zjeździe „wychowania rodzinnego”, by biadać nad tem wychowaniem i budować zamki na lodzie. Zapewne dla umożliwienia tego rodzaju budownictwa, wszelkie zjazdy naukowe, społeczne i... niepolityczne odbywają się w Rosji w zimie.

Petersburg.

Bh. K.





Komisja obywatelska dzielnicy wolskiej: pp. inż. Szrajber, Wład. Strakacz, M. Przezdziecki, Ryszard Machlejd, J. Jarmurzyński.



Nowi gospodarze rogatki warszawskich: pp. Sosnowski, Rębalski Zaleski i Sukert. Fot. Maryana Fuksa.



Komitet obywatelski przesunięcia rogatki i przedstawiciele miasta przy rogatce jerozolimskiej.



Rogatki koszykowe.

Przenosiny rogatki.

Kartka z dziejów rozwoju Warszawy.

W drugiej połowie siedemnastego stulecia, w epoce świetności dworu Stanisława Augusta, gdy Warszawa stołeczna imponowała nawet cudzoziemcom setką magnackich pałaców, gospodarzył w naszym grodzie marszałek Stanisław Lubomirski.

W owe czasy granice miasta nie były dostatecznie uregulowane, istniały jednak kresy, zaznaczone w czasie zarazy morowej, poza którymi chowano zwłoki zadżumionych, jakoteż utrzymywano pewną kwarantannę.

Lubomirski, rozglądając się w ówczesnych planach Warszawy, powziął śmiałą myśl rozszerzenia jej do owych kresów, utrwalając w potrzebie kordonu właśnie na owych granicach, które z dniem 14-tym lutego r. b., z przeniesieniem faktycznym rogatki, zniknęły bezpowrotnie od strony zachodniej miasta. Kordon, z początku utrzymywany w czasie zarazy, powoli zamieniał się w stałe posterunki pachołków miejskich, strzegących w odludnych miejscach całości pól miejskich, uprawianych przez mieszczan, bądź z dawnego grodu, bądź z przyłączonych jurydyk. Nie przewidywano jednak, iż ze zmianą losów Polski, po objęciu w Warszawie rządów przez

prusaków, granice te otoczone będą zwartym kordonem pruskiego żołdactwa i policyantów, gdy naczelnik policyi w Warszawie, de Tilly, najskrupulatniej zastosował system paszportowy, a kamera skarbową—system fiskalny, na wzór opodatkowanego i strzeżonego Berlina, oraz innych miast pruskich, od czasów panowania całego szeregu Fryderyków.

I zaczęły się nowe czasy dla mazowieckiego kmiecia, iż wjeżdżając do stolicy, spotykał się z przedstawicielem fiskusu pruskiego, który prętem żelaznym kłuił mu siano, dziurawił worki i grzebał się w drewkach, szukając kontrabandy, a jadących w koczach podróżnych „policyj” wypytywał o paszport.

Niestety, system fiskalny, zastosowany przez prusaków, pozostał za Księstwa Warszawskiego, które, niezamówne w środki materialne dla tworzenia nowej armii w zrujnowanym kraju, w dalszym ciągu pobierało cła na kordonie i strzegło surowo rogatki. To samo działo się za Królestwa Kongresowego, z tą różnicą, iż obostrzono kontrolę paszportową, na każdej rogatce ustawiono po dwa domki: jeden dla poborców celnych, drugi dla odwachu, którego komendant kontrolował

paszporty i na okopy od rogatki do rogatki wysyłał patrole.

Książę Konstanty w objazdach swoich po ubikacjach wojskowych miał paszę zajeżdżania nocą na rogatki i kontrolowania wart. Rozkazy dzienne wojska polskiego niejednę karę notują za brak czujności, a pamiętny był fakt płazowania z rozkazu księcia-namiestnika—szyldwachy piechury przez przywołanych kawalerzystów za brak czujności na warcie rogatkowej.

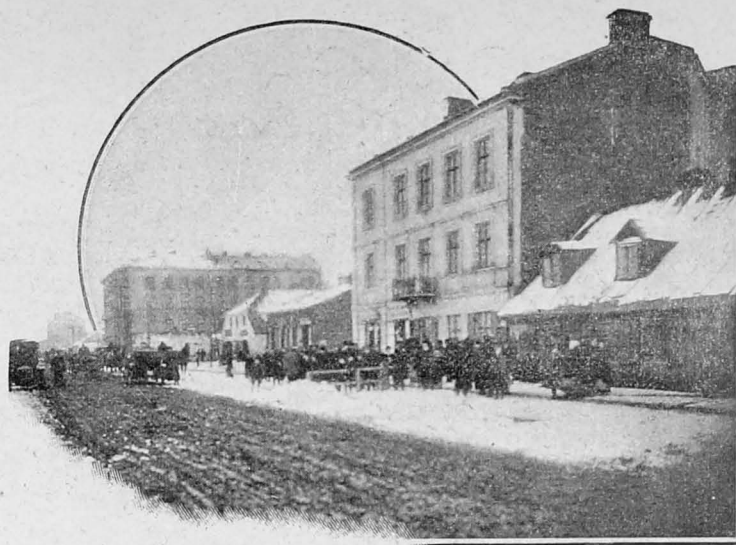
Kontrola rogatkowa dała okazję do nowego figla głośnemu w owym czasie kuglarzowi, Pinetiemu, który z rozkazu księcia-namiestnika musiał opuścić Warszawę. Jakoż istotnie wyjechał on o godzinie 10 wieczorem z Warszawy, w dacie mu oznaczonej, lecz jednocześnie przez wszystkie rogatki. Oczywiście, sprytny kuglarz ucharakteryzował cały szereg swoich pomocników, których zaopatrzył w paszporty i nazajutrz dyrektor policyi złożył księciu namiestnikowi dziwny raport, iż rozkazowi stało się zać, Pineti bowiem wyjechał z miasta, lecz jednocześnie przez wszystkie rogatki.

Rygory rogatkowe trwały przez cały czas rządów namiestniczych feldmarszałka Paskiewicza, późniejszy wszakże rozkaz rady administracyjnej ustanowił kontrolę paszportową na granicy kordonu Litwy z Polską. Warszawę zaś zwolniono od tej formalności; natomiast jeszcze



Dotychczasowe rogatki wolskie.

Fot. Maryana Fuksa.



Nowe rogatki jerozolimskie przesunięto o blisko półtorej wiorsty.

długo trwała rewizja konsumpcyjna, zredukowana do przywozu spirytusu, co wreszcie około roku 1860-go całkowicie ustało i oprócz posterunków policyjnych z kordonu rogatkowego nic nie pozostało.

W chwili obecnej zamknięte będą cztery rogatki, z których dwie najstarsze z istniejących: Wolskie i Jerozolimskie, oraz dwie z nowszych: Sienne i Żytynie, otwarte zaś z dniem 14-tym lutego będą: Grójeckie, na traktie radomskim przy granicy wsi Ochota; Królewskie na Nowem Czystem, przy drodze niegdyś wiodącej z zamku Ujazdowskiego od pół elekcyjnych na Woli; Kolejowe—na końcu ulicy tej nazwy przy zbiegu z Karolkową; Karolkowe przy targu miejskim na siano; Skierniewickie przy ulicy tej nazwy w pobliżu szpitala żydowskiego, na Czystem; Kaliskie, na granicy gruntów miejskich z gminami przy szosie błońskiej, w środku Woli; Górczewskie przy traktie tej nazwy, wiodącym do Babic; Obozowe przy końcu Młynarskiej, którą niegdyś droga wiodła do obozu powązkowskiego, gdzie latem konsygnowała się pierwsza dywizja piechoty b. wojsk polskich, a nieopodal granic cmentarza powązkowskiego.

Z budynków opróżnionych przez poborców rogatkowego zasługują na uwagę cztery pawilony, pobudowane z planów konkursowych b. Akademii sztuk pięknych (w pałacu Kazimierowskim) w roku 1826-ym, na konkursie, ogłoszonym dla studentów architektury. Z nagrodzonych rysunków i planów wybudowano wówczas 12 pawilonów po dwa: na rogatkach Mokotowskich, Jerozolimskich, Wolskich, Pułkowskich (obecnie Marymonckich), Golendzinowskich i Grochowskich. Z liczby tej nie istnieją na rogatce Pułkowskiej, zniszczonej pod cytadelą w roku 1835-ym, i na Golendzinowskiej, zniszczonej w roku 1878-mym. Opróżnione pawilony na rogatkach Jerozolimskich upamiętnione zostały na znanym obrazie Wojciecha Kossaka, przedstawiającym przedarcie się baterii konnej Bema do Warszawy w czasie szturmów września 1914 roku 1831-ym przez zastępy piechoty rosyjskiej. Nie upamiętnione na żadnym z obrazów a ocalone pawilony na zamkniętej rogatce grochowskiej pamiętne są odwrotem konnicy rosyjskiej w czasie bitwy pod Grochowem.

Zasługa to komisji obywatelskiej, na czele której w dzielnicy wolskiej stanął p. Władysław Strakacz, a jerozolimskiej p. Józef Lipiński, przy najczynniejszym udziale p.p. Ryszarda Machlajda, Edwarda

Gejzlera, Rafała Wąsowicza, Marcelgo Przeździeckiego i inżyniera Schreiber, którzy potrafili doprowadzić starania o przeniesienie rogatki do właściwej granicy miasta po 77 latach usiłowań, wszczętych przez obywateli wolskich jeszcze w roku 1835-ym, jak to stwierdza archiwum miejskie. Zaznaczyć również należy ofiarność tychże obywateli na koszt przenosin rogatki po odmownej odpowiedzi Magistratu. Zebrał bowiem potrzebną na ten cel sumę i sami się do niej w znacznym stopniu przyczynili.

W. Z.



Włodzimierz ks. Czetwertyński w Resursie kupieckiej.

Książę Włodzimierz Czetwertyński lat czterdzieści jest już członkiem Resursy Kupieckiej. W pałacu Mniszkowskim zebrało się duże grono klubowe za stołem zastawionym, aby przypomnieć księciu ten moment pięknego uniesienia z jego młodości, w którym, dla zamianfestowania solidarności narodowej i braterstwa klas, zapisał się na liście, gdzie same niemal nazwiska mieszczańskie figurowały. Były to liryczne czasy naszej historii, czasy, gdy obalano bariery przesądów rasowych i kastowych. Niewielu z biesiadników obecnych przeżyło je osobiście. Kronenberga, Szlenkiera i wielu innych nie stało. Wytrwały książę w ciągu czterdziestolecia swego członkostwa w towarzyskim ze-

braniu, które było ongi jedyną organizacją wyższego mieszczaństwa polskiego, przeszedł przez całą skalę zaszczytów do prezosostwa komitetu Towarz. Kredytowego, przez długie lata jedynej organizacji ziemiańskiej i jedynej wyborczej u nas. Ks. Włodzimierz Czetwertyński należy do najpopularniejszych osobistości w mieście i kraju; mieszka stale w Warszawie, w pałacu ongi Uruskich; jest prezesem Towarzystwa Dobroczynności; syn jego, Seweryn, stoi na czele społeczno - zawodowej instytucji ziemiańskiej, Towarzystwa Rolniczego Centralnego; córka, Marya hr. Tarnowska, jest żoną posła austriackiego w Sofii.

Sny.

Wśród ciszy nocnej widmowa drużyna
Niepowołane, niespodziane płyną

Przez był nasz sny.

Zmącą myśl rzeczy układem opaczny,
Wspomnieniem wzruszą, obrazem dziwa-
Wycisną lży; [cznym

Rozedra kłamną pozorów osłonę,
Oświecą życia głębie utajone
W błyskawic skrach,

W czare serc wsączą tęsknoty bezkresne,
I, jak sumienia głos, budzą bolesne
Żale i strach.

Proroctwem olśnią, za groby prowadzą,
Przeszłość i przyszłość wywołują władzą
Czarownych technię,

I odlatają w niepamięci kraje,
Gdy się żrenica otwiera i wstaje,
Powszedni dzień...

Błogosławieni, którzy czuwać we śnie
I śnić na jawie mądrze i pocześnie
Posiedli dar:

Umiłowaniem prawdy upojeni,
Brać w siebie mogą jasność jej promieni
Od sennych mar.

W jej blasku zajrzeć w istnienia otchłanie,
Słyszeć harmonii wiekuistej granie,
Wsnąć się w jej treść;

I tym, dla których snów jest obcą mowa,
Echa dalekie przedwiecznego słowa
W skupieniu nieść...

Bh. Kutylowski.



(Od lewej do prawej): I-y rząd: pp. Elsner, Bronisz, Wiśniarowska, Janecka, Krysińska, Przybyłko-Potocka, Wysocka, Winiarska, Dunin, Słubicka, Mielnicka, Łomska. II-gi rząd: pp. Tatarkiewicz, Weychert, Junosza-Stępowski, Grabowski, Sosnowski, M. Węgrzyn, Schiffman, Francke, Szobert, Frycz, Zelwerowicz, Kopczewska, Jarniński, J. Węgrzyn. III-ci rząd: pp. Zarzycka, Leszczyński, Lenczewski, Nowakowski, Monasterski, Filipowicz, Zawrocki, Olechowski, Opieński, Zieliński, Drabik, Bryliński, Dębowicz, Dybizbanski, Guttner.

Aktor i rola.

Goethe zauważył, że teatr, a raczej trupa teatralna, jest całym światem ludzkim w zmniejszeniu. W trupie teatralnej spotykają się, jak na szerokim świecie, ludzie wszystkich stanów, wszystkich charakterów, uczciwi, ambitni i abnegaci, inteligentni i niemal analfabeci, natury zdolne do wielkich poświęceń i egoistyczni intryganci, jednostki uprzejme i chamy, trzeźwi i pijacy, święci i zbóje, i t. d., i t. d., i t. d.

Spostrzeżenie trafne. Aktorzy każdego teatru są całym światem ludzkim, oglądanym przez szkło zmniejszające. Spójrzcie na kulisy. Dzieje się tam to samo, co za kulisami świata nieteatralnego. Na tym wielkim świecie jedyną troską wszystkich jest odegranie upodobanej roli, a o czem, jeśli nie o zdobyciu dobrej roli myślą, roją aktorzy, i o cóż, jeśli nie o tę upodobaną rolę zabiegają w równie rozmaity sposób aktorzy w teatrze, jak wszyscy inni śmiertelni — w życiu?

Rola! Po nią wyciągają ręce ludzie wszystkich stanów, uczciwi i łotry, uczciowi i kamienni, ambitni i próżni, inteligentni i analfabeci, uprzejmi i chamy, trzeźwi i pijacy... aż któryś z nich rolę nareszcie zdobywa. Wówczas zaczyna ją grać. I gra ją dobrze, lub licho, z zapalem albo nieinteligentnie, teatralnie lub popijanemu... Ci zaś, którzy patrzą — albo biją brawo, albo wzruszają ramionami, albo sykają i gwizdzą... tacy już darwinistycznie bezserdeczni gladyatorowie walki o byt.

W teatrze *Rola* jest jedyną myślą aktorów. Docierają do niej nieraz przez najciemniejsze zakulisowe przesmyki, a czasem niewolany zbieg okoliczności rzuca ją w objęcia szczęśliwcowi. Naokoło tego, który dostał rolę, wytwarza się wstęga zawiści kolegów; wstęga ta się zaciera i ma niedwuznaczną tendencję do przemienienia się w arkan i w szubieniczny stryk.

Oczywiście, u nas, w kraju, pod wieloma względami pastuszym, t. j. pasterskim, walka o rolę nie przybiera tak ostrego charakteru, jak na zepsutym Zachodzie. U nas w tej walce używa się co najwyżej

intrygi i co najwyżej miłości. Tak jest — i miłości. Gdy zapaśnikami o rolę są kobiety. A że miłość zawsze w końcu zwycięża, o tem równie dobrze wiedzą z ewangelii artyści, reżyserowie, dziennikarze i publiczność.

Inaczej się dzieje we Francji.

Wprawdzie i tam chrześcijańska zasada „nie czyn bliźniemu twemu, co tobie nie miło” została podniesiona do potęgi „czyż zwierchnikowi twemu to, co mu jest miło”, ale spostrzeżono, że nawet i to nie wystarcza.

We Francji zbyt są ludzie oswojeni z miłością i z intrygami.

Tedy jęto szukać czegoś, co by było mocniejsze od miłości.

I znaleziono natychmiast.

Znaleziono śmierć.

Dwa lata temu w czasie generalnej próby „Mon ami Teddy”, panna de Bray, grając w pierwszym akcie, zdradziła taką niepewność ruchów i taki brak stanowczości w akcentowaniu zdań, że to niepokojąco uderzyło zebraną w teatrze elitę towarzyską Paryża. Cóż się okazało w antrakcie? Że przed wejściem na scenę panna de Bray otrzymała list anonimowy, w którym ją ostrzegano przed wdychaniem woni kwiatów w akcie trzecim. Kwiaty miały być zatrute, bowiem pannę de Bray szykowano się zgładzić w ten sam sposób, w jaki niegdyś zgładzono Adrienne Lecouvreur.

O tym samym mniej-więcej czasie, znana artystka francuska, p. Marguerita Carré, otrzymała od nieznajomego wielbiciela — ośkę masła. Ponieważ ośka masła nader rzadko figuruje między teatralnymi prezentami, więc ta, uprzejmie nadesłana pannie Marguericie Carré, uległa niezwłocznej analizie lekarskiej. I oto stwierdzono, że przesłane łaskawie masło zawiera kwas cynkowy.

W kilka dni później, w przeddzień generalnej próby „Telemaka”, na zadatek przyszłego artystycznego sukcesu, p. Marguerita Carré poczęstowała kilku swoich przyjaciół w garderobie teatralnej dopiero co przysłanym winem. Tracono się kieliszkami, nabrano wina w usta, i — wbrew dobremu wychowaniu — wypluto je natychmiast.

Analiza lekarska tym razem stwierdziła, że jedną z głównych ingrediencji

plynu zabutelkowanego, jako malaga, jest — sublimat.

„W teatrze, proszę pani, niema się przyjaciół, niema się współpracowników. Ma się jedynie rywali. Każda koterya będzie wyciągała swoje tysiąc ramion, aby pani przeszkodzić wejść o jeden szczebel wyżej, będzie otwierała swoje tysiąc ust, aby pani w twarz pluć sztyderstwem, będzie podnosiła głos, aby mówić dobrze o sobie, a źle o pani...”

Są to słowa Kean'a z dramatu Dumas'a, słowa, które — według Ferranda Vanderema — Lucyan Guitry, znakomity aktor francuski, lubi cytować w rozmowie o teatrze.

O rolę tak się walczy, jak o kawał mięsa.

Słynna Polaire współzawodniczyła z Reginą Badet w dobijaniu się o rolę Conchity w sztuce Pierre Louys'a „La Femme et le Pantin”. Gdy otrzymanie tej roli przez pannę Polaire stało się wątpliwe, Polaire oświadczyła, że w razie innej obsady, strzeli w łeb autorowi.

Nie, talent mieć — nie wystarczy! Trzeba jeszcze posiadać ordynarną siłę do zdobywania terenu dla tego talentu. Taki jest świat. I ten wielki, ogólny, i ten — teatralny. Jednem prawem obydwóch: Drapieżność.

Przeciętny widz, siedzący w fotelu np. na przedstawieniu „Romantycznych” Rostanda, podziwia miękkość duszy dziełowej bohaterki tej komedii, z drżeniem ujmującego głosu, pełnemi uroku ruchami, jej stąpieniem, które, zda się, nie skałeczyłoby listka najtłkwszej róży, nawet gdyby nieopatrznie nóżka marzycielki kwiat ten nadeptała, i porwany spektator ani się domyśla, że możność zagrania tej roli czarowna artystka zawdzięcza truciznie, własną ręką wyspanej w herbatę koleżanki.

Pragnie się nieomal wyprowadzić wniosek z powyższego, że poezję się osiąga przez morderstwo.

Ale, oczywiście, tylko za granicą, tylko na Zachodzie. U nas, w kraju obyczajów łagodniejszych, wystarczy intryga. Berent by to nazwał: „Przez fałszywą scenę życia — na prawdziwą scenę!” („Próchno”). Berent się przecież myli: obydwie sceny są jednakowo prawdziwe.

Wacław Grubiński.

Sezon muzyczny w Warszawie.

Jubileusz wirtuoza.

„Nikt tak Chopina zagrać nie potrafi, jak Śliwiński” — oto zdanie często spotykane wśród melomanów warszawskich.

Jest ono tembardziej znamienne, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia Warszawa gościła wszystkich niemal najslawniejszych pianistów europejskich. Bez wątpienia, Józef Śliwiński stał się nie tylko ulubieńcem publiczności, lecz, nadomiar, zdobył sobie cały szereg zwolenników fanatycznych, którzy pod wieloma względami upatrują w nim szczyt wirtuozostwa fortepianowego.

Nie potrzeba łomaczyć, że siła, którą porywa Śliwiński, jest natchnieniem, jednakże rodzaj tego natchnienia wymaga kilku słów charakterystyki.

Jeżeli w każdej indywidualności artystycznej istnieją dwa pierwiastki: intuicyjny i samowiedny, to u Śliwiń-



Józef Śliwiński.

skiego czynnik pierwszy przeważa w sposób zdumiewający, panuje prawie wszechwładnie. Oto jest powód, dla którego gra Śliwińskiego bywa nierówna, w chwilach zaś szczęśliwych wywiera wrażenie nigdy nie zapomniane.

Ponieważ zaś te chwile szczęśliwe przychodzą częściej, niż rzadziej, nie więc dziwnego, że postać jego przyobiekła się w urok, którego wyrazem jest żywioł namiętny i uczuciowy.

Nazwisko Śliwińskiego na afiszu stało się magnesem niezawodnym.

W końcu stycznia b. r. upływa lat 25, kiedy Śliwiński wystąpił po raz pierwszy w Warszawie na koncercie w Resursie Obywatelskiej.

Z tego powodu w ubiegły wtorek odbył się w Filharmonii koncert jubileuszowy naszego wielkiego artysty, koncert, który dołączył jeden tryumf więcej do liczego szeregu poprzedzających.

Przy tej sposobności zaznaczamy kilka notatek biograficznych.

Józef Śliwiński urodził się w Warszawie w r. 1866. Ojciec jego był profesorem konserwatorium. Po ukończeniu Instytutu Muzycznego w Warszawie w r. 1885, Śliwiński udał

się do Wiednia, dla studyów u prof. Leszetyckiego, które zajęły rok czasu. W r. 1889 Śliwiński pracuje przez dwa lata w Petersburgu pod kierunkiem Antoniego Rubinsteina.

W r. 1892, dzięki kolosalnemu powodzeniu, jakie miał w Berlinie, rozpoczyna koncertować po Niemczech, następnie jedzie do Paryża, gdzie gra trzy koncerty własne w Sali Erarda. Wrażenie było tak korzystne, że zostaje dwukrotnie angażowany do współudziału w koncertach słynnego Lamoureux. Po Paryżu — Londyn, w którym impresario amerykański angażuje go na wielką podróż artystyczną po Ameryce w r. 1894. Dwa „tourné” po Ameryce odbywa jeszcze w r. 1902 i 1903.

W owej porze rozgłos wszechświatowy Józefa Śliwińskiego był już zapewniony. J. R.

Nowe polskie dzieło symfoniczne.

Dnia 7-go lutego r. b. na wielkim abonamentowym koncercie symfonicznym w Filharmonii ma być wykonana, pod osobistym kierunkiem kompozytora, symfonia A-dur Adolfa Gużewskiego.

Autor jest laureatem zeszłorocznego konkursu jubileuszowego Filharmonii Warszawskiej, na którym sędziowie jednogłośnie przyznali mu za symfonię A-dur pierwszą nagrodę.

Wśród liczego grona ludzi, w tajemniczonych w dotychczasową twórczość Adolfa Gużewskiego, odznaczenie tak wysokie nie zdziwiło nikogo. Opera jego „Dziewica Łodowców”, która od pierwszego do ostatniego przedstawienia cieszyła się rzetelnym powodzeniem, wykazała przedewszystkiem — żywiołową siłę talentu.

Obok tego jednak szczególniejszą uwagę zwrócić trzeba na ideo-

wość artystyczną, którą rządzi się Gużewski. Duch jego w swej szczerzej i trzeźwej prostocie wykazuje niezależność zupełną od refleksyjnej deprawacji współczesnych kierunków muzycznych. Tu objawia się moc jego indywidualności oraz inteligencji; nie przestała dlań istnieć stara, głęboka i nieśmiertelna prawda, że bez „natchnienia” dzieło sztuki stworzyć się nie da.



Adolf Guzewski.

Zdobycze dzisiejszej techniki kompozytorskiej stosuje on tylko w miarę istotnej potrzeby tworzenia; stąd też w utworach jego ów nastrój ożywczy, kontrastujący dodatnio ze sztucznością wielu fabrykatów muzycznych ostatniej doby.

Symfonię Gużewskiego cechuje polifonia bardzo bogata. Dzieło to składa się właściwie z trzech części 1) Allegretto piacerole (w takcie $\frac{3}{4}$), 2) Andante molto sostenuto (takt na $\frac{4}{4}$), 3) Allegro con brio (takt na $\frac{2}{4}$).

Scherza, jako części oddzielnej, symfonia nie posiada, natomiast jest ono wplecione do części pierwszej, gdzie zajmuje miejsce tak zwanej „przeróbki” w formie sonatowej.

Przeróbka więc jest scherzem, stanowiącym z ekspozycją tematów i reprzyą całość nierozdzielną.

Takiego zmodyfikowania formy nie spotykaliśmy dotąd w symfonii; autor nie wzorował się tu na nikim. W danej symfonii jest to tem bardziej na miejscu, że założenie części pierw-

Andante, con anima *Symfonia A-dur (Fragment)*

Autograf symfonii Adolfa Guzewskiego.

szej ma w głównych zarysach wyraz pogodny; tak, że charakter tematów ekspozycji pozwala na zużytkowanie ich w Scherzu.

W Finale, zbudowanym na trzech tematach, rozbrzmiewa, jako temat dodatkowy — popularny chorał „Wesoły nam dzień dziś nastał” najprzód w figuracji rytmicznej, następnie w zakończeniu symfonii, w pełni dźwięku trąb i puzonów.

J. R.



Niuta Wiesłówna,

młodziutka pianistka, uczennica prof. Melcera, która z wielkim powodzeniem grała na niedzielnym koncercie symfonicznym.

Cecylja Hansen.



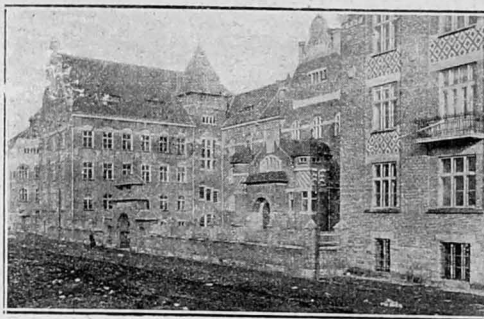
Piętnastoletnia skrzypaczka, danka, która na piątkowym koncercie w Filharmonii wywołała zachwyt nadzwyczajną techniką zjawiskową i temperamentem artystycznym.

Pamięci wielkiego aktora.



Pomnik ś. p. Gustawa Fiszera na cmentarzu żydackim we Lwowie, dłuta Stan. Błotnickiego.

Szkolnictwo krakowskie.



Nowy gmach szkoły przemysł. w Krakowie.

Dyrektor galic. Banku krajowego.

Na stanowisko dyrektora Banku krajowego we Lwowie, największej polskiej instytucji bankowej w zaborze austriackim, powołany został jeden z pierwszych finansistów Lwowa, dr. Jan Steczkowski. W dotychczasowej swej działalności, jako dyrektor galic. Kasy oszczędności, której uzdrowienie przeprowadził po głośnym zachwianiu się, a następnie, jako dyrektor lwowskiej filii Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu, położył dr. Steczkowski bardzo wybitne zasługi około ekonomicznego podniesienia kraju.



Jan Steczkowski.

Polacy w Wiedniu.

W najmłodszym ministerstwie austriackim, w ministerstwie robót publicznych, które tak doniosłe znaczenie ma dla gospodarczego życia Galicji wobec budowy kanałów spławnych, powołany został na wybitne stanowisko radcy ministerialnego rodak nasz, dr. Jan Waygart. Radca dr. Waygart należy do najtęższych młodszych sił urzędniczych polskich i, dzięki dużym zdolnościom, wczesnie zdołał zająć odpowiedzialną pozycję. Powołany z namiestnictwa we Lwowie do ministerstwa robót publicznych przy samym jego utworzeniu w r. 1908, prowadził dotychczas ważny departament spraw techniczno-gospodarczego popierania przemysłu drobnego i domowego w Galicji, którego zakres rozszerzono wkrótce także na sprawy szkolnictwa przemysłowego. Na nowym stanowisku zyskuje rodak nasz szersze i bardziej wpływowe pole działania około rozwoju polskiego życia gospodarczego.



Dr. Jan Waygart.

Ofiara rozstroju duchowego.

W Pacewiczach pod Wołkowyskiem, jak donosi *Kurjer Litewski*, zastrzelił się właściciel, Henryk Popławski, w wieku lat 21. Nieszczęsna ofiara rozstroju duchowego na tle stosunków rodzinnych, ś. p. Henryk, był synem Popławskiego, zamordowanego przed siedmiu laty przez żonę a matkę Henryka. Sąd wtedy matkę jego uniewinnił, lecz wypadek ten, zbyt głośny w okolicy, wpłynął ujemnie na stan duchowy Henryka. Popławski odebrał sobie życie wystrzałem z obu luf dubeltówki, którą tak przymocował do łóżka, by móżdżek nogą spuścić oba kurki jednocześnie.



Henryk Popławski.

Historia Malarstwa.

Wspaniałego dzieła Haldana Mackfalla „Historia Malarstwa” ukazał się zeszyt 36, zamykający tom V, zawierający szczegółowe dzieje malarstwa holenderskiego. Zeszyt ten zawiera przepiękne reprodukcje dzieł następujących malarzy: Rembrandta, Dżiewczyzna z miotłą; Terburga; Koncert; Franciszka Clouet'a; Elżbieta Austriaczka; Mikołaja Poussin'a; Pastere Arkadyjsy; Lancret'a; Wiosna.

Poeta El umarł nagle.

Umarł nagle w Warszawie Kazimierz



Kazimierz Laskowski. popularny i ulubiony piosenkarz, znany wszystkim pod pseudonimem *Ela*. Urodził się w Krakowie. Ostatnio redagował dwutygodnik „Wieś i Dwór”. Wiersz miał łatwy i śpiewny, łatwo wyrażał nim pogodny uśmiech polskiego ludu i rzewny smutek dołi złej a niezasłużonej. Napiszemy o nim obszerniej.

SPRZEDAŻ,
WYNAJEM.

GENNIKI
BEZPŁATNIE.

Magasin
de Luxe
W. Golińska
Place du Théâtre, Tel. 107-63
STAŁY NAPŁYW
WYKWINTNYCH
NOWOSCI.



Kościół pokomunistowski w Pińsku.



Wnętrze kościoła w Pińsku.

Nowy kurs.

Nieporozumienie, którego skutki dają się uczuć dotkliwie w stolicy Polesia, Pińsku, pomiędzy władzą administracyjną z jednej, a duchowną władzą katolicką z drugiej strony, posiada grunt zasadniczy.



Ks. Kazimierz Bukrabu, prefekt szkół w Pińsku.

Władza administracyjna, wychodząc z założenia, że język polski, przy wykładzie religii katolickiej, jest tylko właściwym dla uczniów narodowości polskiej, pragnie stwierdzić, że wśród 160 uczniów i uczenic w

szkołach pińskich, pewna część jest pochodzenia białego, lub mało-rusińskiego, a nadto, że znajduje się tam kilkunastu litwinów i jeden łotysz. Wobec tego żąda władza, aby wykłady religii odbywały się dla tych uczniów w języku urzędowym. Natomiast prefekt szkół tamtejszych, ks. Kazimierz Bukrabu, i jego bezpośredni zwierzchnik i administrator diecezji mińskiej, do której Pińsk należy, J. E. ks. arcybiskup Kluczyński, dowodzą, że wszyscy ci uczniowie, podobnie, jak ich rodzice (zaliczeni przy wyborach do Dumy Państwowej, jako prawyborcy z kurii polskiej), są narodowości polskiej, a więc, stosownie do Manifestu Najwyższego z 1905 r., który zaleca, aby wykłady religii odbywały się w języku ojczystym, mają prawo do wykładów w języku polskim.

Spółceństwo polskie żywo jest sprawą tą zajęte, oczekując z niepokojem rezultatu ciągłych w tej kwestii korespondencji pomiędzy obydwojema władzami. Jak słychać, przeszło 80 rodziców złożyło do ministra podanie, zaznaczając przynależność do narodowości polskiej. Ponieważ kopię podania przesłano równocześnie do posłów polskich, przeto sprawa będzie prawdopodobnie przed-

miotem osobnej interpelacji w Dumie. Tymczasem jednak, skutkiem tego nieporozumienia, lekcje religii nie odbywają się wcale, a ks. Bukrabu od początku roku przeszedł, jako prefekt szkół, w bezczynność.

Mińsk lit.

d.

Prezes nowego gabinetu francuskiego.



Arystydes Briand.

Bojkot francusk. kultury w Belgii.

Polityka niemiecka przybiera, jak istny Kameleon, przeróżne odcienie. Tam, gdzie nie można z przeróżnych powodów prowadzić walki otwartej, Niemcy powolną, podkopową pracą starają się wypełnić to wszystko, co poczytują za wrogię germanizacyjnym hasłem. Jak wiadomo, w Belgii istnieją dwie grupy etniczne i dwa języki: grupa walońska z językiem francuskim i grupa flamandzka z językiem flamandzkim. Oddawna już Niemcy zakroili na zgermanizowanie i przyciągnięcie do siebie flamandów. Przedewszystkiem zaczęto od tego, że zagarnięto ekonomicznie najważniejsze placówki flamandzkiej części kraju. Antwerpia jest dzisiaj przede wszystkim niemieckim, niżli belgijskim, miastem. Cały niemal handel portowy, komisyjne biura, banki, przedsiębiorstwa przewozowe—wszystko to znajduje się w rękach Niemców. Powoli rozjątrzyli oni ów antagonizm, jaki istnieje od wieków zresztą pomiędzy belgami, mówiącymi po francusku, i tymi, którzy przyznają obywatelstwo tylko flamandzkiemu narzeczu. Zwolna powstał cały szereg kółek, stowarzyszeń, pism, ognisk propagandy języka flamandzkiego; teatry, w których grają tylko w tym języku, stają się coraz liczniejsze. A ci, co za kulisami pchają naprzód ten ruch, otrzymują rozkazy i kierunek z Berlina. Do czego dochodzi ta walka i jak jest pro-

wadzoną, wystarczy przytoczyć parę przykładów: Na stacyach kolejowych w bufetach wywieszono wszędzie cenniki w dwóch językach. Szklanka piwa, zażądana po flamandzku, kosztuje 20 centymów, ta sama szklanka tego samego piwa, zażądana po francusku, kosztuje natomiast 25 centymów. A kto zna Belgów,—ten się domyśli, że nawet ci, co nie znają języka flamandzkiego, nauczą się go rychło, aby coś-niecoś zaoszczędzić na tej kombinacji politycznej. Kilkakrotnie zdarzyło mi się w Antwerpii, ostatnio w Malines, zapytać przechodnia, lepiej nawet, stójkowego, o jakąś ulicę,—mówiłem naturalnie po francusku,—odpowiedziano mi dosłownie — „nie rozumiem tego języka!” — Owóż język francuski jest językiem oficjalnym Belgii. Niedawno pisma francuskie zapełniły się uskarżaniem na nowy, specjalny bojkot. Oto w Louvain zabroniono na stacyi kolei żelaznej sprzedaży pism francuskich! Ligi propagandy języka francuskiego zaprotestowały, ale bezowocnie, i zdaje się, że sprawa ta przybierze wkrótce ostry charakter, przyczem mówią już o interwencji dyplomatycznej. Walka powolna, doskonale pomyślana, dąży do wytepienia w Belgii kultury łacińskiej, do zastąpienia jej przez kulturę germańską, gdyż kwestyi nie ulega, że cały ruch flamandzki jest ruchem germanofilskim.

Na wschodzie i na zachodzie tę samą niszczyielską, podstępą prowadzą Niemcy robotę.

Paryż.

K. D.-S.

Pani Poincaré.

O żonie nowego prezydenta republiki francuskiej, pani Poincaré, obiegają różne wieści, rozsiewane zwłaszcza w czasie walki wyborczej przez żony spółzawodników szczęśliwego wybrańca. Jak się zdaje, wiadomość, że dzisiejsza pani Poincaré rozpoczęła karierę, jako śpiewaczka kabaretowa w porcie Pireus pod Atenami, gdzie ją miał poznać jej pierwszy mąż, jest plotką. Tyle pewna, że pani Poincaré jest z pochodzenia włoską, urodzoną we Florencji, a nazwisko jej rodzinne brzmi: Belucci. Również nie ulega wątpliwości, że obecna prezydentowa Francji jest dotąd w pełni urody i wdzięku. Prawdopodobniejszą jest wersja, że obecny jej mąż, który ją poznał, jako adwokat, prowadził jej proces rozwodowy z drugim jej mężem, a sprawą przejął się tak serdecznie, że z roli obrońcy, a później przyjaciela i opiekuna, został jej mężem.



Pani Poincaré.



Przedstawiciel: F. JANKOWSKI—Warszawa.

Karnawał w Krakowie (karta, zapraszająca na Redutę.)



My, rektor Jacek i Dziekan Ignacy i Nos, niniejszym listem Was zawiadamiamy, że pod naszym wysoce auryfikującym odbyte się we wtorek 4 lutego 1913 po godz. 10 wieczór.

Reduta

w Jamie Michałkowskiej
Artysta, literat, lub polityk, a także z innego fachu poci, naturalnie, gdy ma monetę, może być uczestnikiem, pod warunkiem, że wstroi się niecierpliwie. Gość w smokingu lub zgoda we fraku, nie będzie cierpiący

Humor i Satyra.

Z ubiegłego miesiąca.

W znaku Bachusa wszedł Nowy Rok.
W zimowy wieczór Sylwestra
W restauracjach był ścisk i tłok,
Śmiech, wrzawa, szampa, orkiestra.
Knap gospodarze, słodcy, jak miód,
Gościom dawali swym gwiazdki,
A gość opijał, racząc się wbród,
Wzejście fatalnej trzynastki.

Jest to w Warszawie od kilku lat
Zgoda już stałem zjawiskiem,
Że w knajpie zabaw widzimy świat,
Ona domowym ogniskiem.
Chętnie zajeżdża rodzinny wóz,
Na knajp świecące posadzki,
Zda się, że w duszę i krew nam wrósł
Nowy ten zwyczaj litwacki.

Ha, w świecie pełno jest ciągle zmian,
Czas bowiem płaci, czas traci,
Tylko niezmiennym jest jeden stan,
Jednacy wciąż dyplomaci.
Od wieków z nimi zdarza się tak,
Ze gdy pokoju pieśń nuci,
Napewno, wszedłszy na sporów szlak,
Wkońcu się z sobą pokłócą.

W Londynie właśnie zebrali się
Na konferencję pokoju,
Pragnąc, w dbałości o skóry swe,

Turcyę odciągnąć od boju.
Chociaż im świecił tak piękny cel,
Lecz skutek wyszedł opacznie;
Lada dzień zabrzmi: celuj! pali strzeli
I wojna znowu się zacznie.

Wino w Londynie lejąc do kruz,
Mówili grzecznie do turka:
„Daj Adrianopol bułgarom już,
Ostatnie swoje daj piórka!”
Ale się, snując pokój nic,
Spotkali z turka oporem —
Głupiec! Niż w hańbie, obdartym żyć,
On woli ginąć z honorem!

Tymczasem u nas — miast patrzeć w dal,
Skoczne muzyki brzmią nuty,
Karnawał krótki, więc czasu żal,
Wieczory, bale, reduty.
Para za parą, tancerze mkną
Za wodziarą przewodem,
Do tańca bowiem polacy są
Gotowym zawsze narodem.

Coprawda, cieszyć się z czego jest,
Idziemy do szczęścia mety,
Przychylny ku nam dziś robią gest
Różne rosyjskie gazety.
Sympatya dla nas wieje z ich kart,
Co zlągólniały potroszę,
Ale ten nowy kurs tyleż wart,
Ile wytarte trzygrosze.

Ale przywykłych do różnych hec
Niechaj nie smuci ta zmiana,
Hen, na Oboznej lepiej dziś biedz,
Gdzie „Nowy Teatr” Szyfmana.

Niechaj kult sztuki rozszerza tu,
Niech kasa nie będzie pusta,
By nie ciążyła dotkliwie mu
Monopolowa część szóstą.

Pozatem — w czarach z Fortuny rąk
Pijemy gorycz wciąż do dna,
Surowi wszyscy są dla nas wkrąg,
Jedynie zima łagodna,
I chociaż los nas do ziemi gnie
Potężnej mocy swej władzą,
Bądźmy, jak dębów prastarych pnie,
Które się ugiąć nie dadzą.

Krogulec.

Kopernik i Chopin.

Wzięła mnie kiedyś pokusa
O Koperniku coś wiedzieć,
Nad francuskiego Larousse'a
Księgą zacząłem więc siedzieć.

Czytam: „On polak. Tak twierdzą
Najbezsronniejsi rozjemcy,
Choć o to wielce się sierzdzą,
Pragnąc przywłaszczyć go, Niemcy”.

— Ha! — myślę — dobra nowina! —
A żem otoczony był ciszą,
Więc brać ciekawość zaczyna,
Co o Chopinie też piszą?

Że polak — prawda to szczerą,
Bo swej polskości dał znaki,
Więc niemieckiego Meyera
Biorę i czytam w sens taki:

„Chopin — to polak” — powiada
Księga w oprawy ozdobię —
„Choć Francya byłaby rada,
Przywłaszczyć, mogąc go, sobie”.

Na takie dictum słownika
Śmiech wylatuje mi z paszczy:
Z Chopina i z Kopernika
Nikt myślę nas nie wywłaszczy.

Bo francuz nam Kopernika
Broni od szwabów chciwości.
Szwab zaś, chcąc, Francji dać przytyka,
Strzeże Chopina polskości,



Z kroniki towarzyskiej.

W dniu 31 stycznia r. b. obchodzili
srebrne gody p. p. Bronisława i Tadeusz
Gębkowie Po mszy Świętej i błogosławieństwie, udzielonem na dalszą drogę
wspólnego pożycia, licznie zebrani krewni,
przyjaciele i znajomi, pełni czci głębokiej i uznania dla niepospolitych charakterów Obojga Jubilatów, złożyli im z głębi serca życzenia doczekania złotych godów.



Bronisława i Tadeusz Gębkowie.



MARJENSZTADT 16
TELEFON № 242-93

SPECJALNOŚĆ. Wykonujemy druk ilustracji jedno- i wielobarwnych. — Katalogi, albumy, plakaty, programy, pocztówki, etykiety — Wizerunki świętych, kopje obrazów. — Książki ciekawe, marki do zbierania ofiar, akcje. — Wydawnictwa naukowe. — Okładki do książek i nut. Klisze do druku jedno-, dwu-, trójkolorowego i cztero- i grubo- i cienko- i drzeworyty.

PROBY I KOSZTORYSY NA
ZADANIE GRATIS I FRANCO.

Katastrofa budowlana przy ulicy Koszykowej w Warszawie.



W nocy z dnia 25 na 26 stycznia runęła górna część ściany frontowej gmachu budującej się Biblioteki Publicznej im. Kierbedzia. Skutkiem katastrofy 5 ofiar straciło życie. Stróż zoną jego i 3 dzieci. (U góry z lewej strony Jaś Jedwabny, który nadzwyczajnym tylko wypadkiem ocalał). Przyczynę katastrofy wyjaśni wdrożone śledztwo. Straty materialne obliczają na 2500 rb.



Fot. Maryana Fuksa

Tłumy, zbierające się w niedzielę 26 stycznia na miejscu katastrofy.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

DYPLOMACJA I WOJNA.

Jeszcze jedna niespodzianka: młodoturecka rewolucja w Konstantynopolu! Kiamil obalony, Nazim zabity. Rząd młodoturecki ogłosił hasło: „Nie oddamy Adrianopola i wysp”.

Głównym twórcą rewolucji był Enver-bej, który, podobno, zastrzelił osobiście Nazima-paszę, ministra wojny.

Pełno plotek obiega świat: 1-a, że rewolucję zrobiono za zgodą sultana, aby odwrócić narady, 2-ga, że Niemcy umaczały w ten sposób, 3-cia, że Rosja będzie interweniować.

Pełnomocnicy tureccy odwołani z Londynu. W Serbii pogroźki, w Bułgarii obawy, w Rumunii niepokój.

Turcyę straszą obecnie widmem kompletnego rozbioru, między Rosją, Anglią i Francją. Narazie ma być zastosowany system wpływów i protekcji odpowiednich terytoriów.

Pogłoski o zwolnieniu rezerwistów węgierskich bynajmniej się nie sprawdziły. Zaledwie kilkanaście urlopów dano, z trudem.

SPRAWY POLITYCZNE.

Nowy rząd francuski ukonstytuował się pod wodzą Brianda. Przyjęto go dobrze. Obiecał reformę wyborów z przedstawicielstwem mniejszości.

Poselstwo mongolskie podejmowano z wielkimi honorami w Petersburgu. Chińska Rzeczpospolita protestuje przeciwko wpływom Rosji w Mongolii.

Po stronie silniejszego postanowiła stanąć bezpiecznie i korzystnie Japonia w zatargu Rosji z Chinami o Mongolię.

Wybór Poincarégo w Anglii powitano z entuzjazmem, w Austrii obojętnie, w Niemczech niechętnie, w Rosji radośnie.

NASZE SPRAWY.

Interpelacja wniesiona zostanie do parlamentu niemieckiego w sprawie wyłączenia. Uzyskano od centrum poparcie.

W komisji samorządowej Rady Państwa postanowiono nie dawać Królestwu osobnego samorządu, lecz zastosować tu prawo samorządowe ogólne z 1892 r.

Dla wprowadzenia w życie oderwania Chełmszczyzny utworzono komisję rządową, która wygotuje odpowiedni projekt.

NAUKA I SZTUKA.

Irydionem otwarty został Teatr Polski w Warszawie. Przedstawienie miało cechy poważnej uroczystości.

August Witkowski, znakomity fizyk, zmarł w Krakowie. Miał właśnie czas skończyć wielki podręcznik fizyki, dzieło pierwszorzędnej wartości.

Na druk materiałów historycznych Edw. hr. Krasiński ofiarował Towarzystwu Opieki nad zabytkami 5000 rubli.

Solski pozostanie na stanowisku tylko do końca sezonu. O dyrekcję teatru krakowskiego stara się Związek artystów dramatycznych.

Nowy gmach teatralny wybudować chce zarząd Teatrów rządowych w Warszawie w Saskim Ogrodzie.

Koncertów polskich w Berlinie odbyło się kilka. Wykonano na nich wyjątki muzyczne z „Konrada Wallenroda”, „Sonety Krymskie” i „Ode do młodości”.

DARY PUBLICZNE.

Na Pogotowie Ratunkowe w Warszawie zapisał ś. p. Krompolc około 70.000 rb.

Na ratowanie chorych piersiowych w Rudce pod Warszawą zapisał ś. p. Piotr Piano majątek Pyry, pod Grójcem, wart. do 50.000 rb.

Bratnia Pomoc studencka w Zakopanem otrzymała od państwa Grohmanów z Łodzi 25.000 koron, dla uczczenia pamięci Teodora Trenklera.

Instytut Ortopedyczny otwarty będzie wkrótce w Poznaniu z ofiarności panny Gąsiorowskiej z Nizy.

RÓŻNE.

W Galicyi znalazło się zaledwie kilkunastu chętnych do udziału w Wystawie Kijowskiej. Komitet osobny zwinięto.

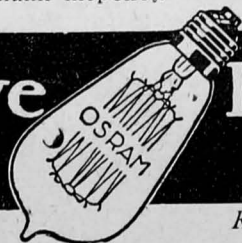
Wyjaśnienie otrzymaliśmy, w liście prywatnym, że kółko studenckie, aresztowane niedawno nad Newą, nie zajmowało się pornografią.

Unieruchomienie Wielkanocy proponuje Pius X. Poddaje tę sprawę ludom i rządowi. Projekt powitano przychylnie.

Niemieccy koloniści osiedlają się szerokim pasem nad granicą Rumunii, — na co zwraca uwagę gubernator bessarabski.

Po rosyjsku rozkazano wyglądać religię katolicką polakom w mińskich szkołach miejskich.

Nowe



lampki Osram z drutu ciągniętego
Niepękające

Każda prawdziwa lampka Osramowa musi mieć napis „Osram”. Do nabycia wszędzie

Dywany Wschodnie

Tow. Akc.
Warsz. Fabr. Dywanów
Mazowiecka 20

Niezrównany wybór
Ceny b. niskie

Najlepsze amerykańskie maszyny do pisania

ORYGINALNE

„UNDERWOOD“

od 12 lat

Z WIDOCZNYM PISMEM



Wyłączny Przedstawiciel:

G. GERLACH

Warszawa, Czysła № 4.

MŁODZIENIEC

bez środków pragnąłby gorąco odbyć trzy-
letnie studia przemysłowe—prosi o podanie
ręki pomocnej. Dla okazania wdzięczności
przekazuje na cel publiczny, przez Obywatela-
Wspomożyciela wymieniony, swą polisę
abezpieczeniową, jedyną rzecz, jaką posiada.
Adres: Okazicielowi legitymacji 17621,
„Świat“, Kraków, Bonerowska № 12

Serga **KALODONT**

Niezbędny **KREM i ELIKSIR do ZĘBÓW**
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowe.

żądać wszędzie

Młody chłopiec,

chory ciężko od lat 7, zwraca się do
Szan. Czytelników z prośbą o pomoc
na dalszą kurację, która ma mu przy-
wrócić zdrowie i siły. Łaskawe ofiary
przyjmuje adm. „Świata“ dla S. P.

KRAJOWA FABR. WYROBÓW TYTUNIOWYCH

Braci Polakiewicz

w Warszawie. Egz. od r. 1862

6293 Poleca **PAPIEROSY**

„Derby“ . . . 10 szt. 10 kop.

„№ I“ i „№ II“ 10 „ 6 „

„Wiwat“ . . . 10 „ 6 „

CEREZYT

Niema już mokrych piwnic, niema wilgotnych ścian!

NAJLEPSZE REFERENCJE

Patentowany w Rosji

PROSPEKTY BEZPŁATNIE

FABRYKA CEREZYTU WARSZAWA MYLNA 7.

Wyszła z druku książka niezbędna
dla każdej kobiety polskiej

NASZ DOM

Treść. Dom w Polsce. Ruch społeczny ko-
biet. Gospodyni obywatelka. Mieszkanie i jego
urządzenie. Współdzielczość, jako środek dobrobytu,
domowego. Odżywianie i gospodarka. Hygiena.
Pomoc d. rażna w wypadkach nagłych. Pedagogika.
Dom i Prawo. Ubranie.

W opracowaniu „Naszego Domu“ wzięli
udział: H. Sienkiewicz, B. Prus, E. Orzeszkowa,
J. Kotarbiński, J. Rostafiński, Z. Dębicki, J. Lange,
T. Prażmowska, E. Węławska, M. Karczewska, L.
Kotarbińska, J. Kosmowska, M. Kretkowska, J. Cho-
romańska, J. Chrzęszczewska, Z. Majlertowa, L. He-
nikowska i w. in.

Cena egzemplarza w kartonowej oprawie 1 rb. 60 kop. z przes. poczt. 2 rb.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Admini-
stracji Tow. Akc. „Świat“, ul. Zgoda № 1.

W każdym domu polskim zna-
leźć się winien

NASZ ROK

**Kalendarz
na rok 1913**

wydany staraniem redakcji „ŚWIATA“ przy udziale
wybitnych sił literackich.

W szeregu źródłowo opracowanych artykułów za-
wiera on szczegółowy przegląd roku ubiegłego.

Dział prawno-społeczny, opracowany przez **D-ra
Emila St. Rappaporta.**

Dział handlowo-przemysłowy, opracowany przez
A. Morozewicza.

Szczegółowy dział informacyjny.

Z górą 400 ilustracji.

Cena kop. 70, z przesyłką pocztową 1 rb.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, oraz w admini-
stracji „ŚWIATA“—Zgoda № 1.

ŻAŁOBNA KARTA.

Ś. p. prof. August Witkowski, profesor fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i niedawny rektor tego Uniwersytetu, znakomity uczony, który w zakresie swego przedmiotu pozyskał sławę europejską, doktor „honoris causa” Uniwersytetów w Glasgowie, we Lwowie i Krakowie, zmarł w Krakowie, przeżywszy lat 59. Ur. w Brodach, w Galicyi, kształcił się w Polsce, w Niemczech i Anglii. W r. 1884 został profesorem we lwowskiej szkole politechnicznej, a w cztery lata potem objął katedrę fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, na którym pracował do końca, zdobywając tu wielkie imię w nauce, oraz powszechną cześć i entuzjastyczną miłość młodzieży, jako znakomity wychowawca, człowiek nieskazitelnej prawości i



dobroci i wzorowy obywatel kraju. Drobek naukowy ś. p. Witkowskiego jest bardzo wielki. W wydawnictwach krakowskiej Akademii Umiejętności, w pismach fachowych i oddzielnie, ogłosił szereg rozpraw, w których zamknął wyniki swych badań w różnych dziedzinach fizyki, w czasach ostatnich głównie w zakresie zjawisk temperatury i termodynamicznych własności gazu. Najważniejszą pracą znakomitego profesora pozostały dwutomowe „Zasady fizyki”, najlepsze opracowanie tej gałęzi nauki w Polsce, cieszące się uznaniem zarówno u nas, jak za granicą. Gorliwym staraniami i nieznużonym zabiegiem ś. p. Witkowskiego zawdzięcza nauka polska nadto wzniesienie nowego, wzorowo wyposażonego gmachu Collegium Physicum w Krakowie, które imieniem jego ma być obecnie nazwane. Wielki uczony i szlachetny człowiek, ś. p. Witkowski pozostawia po sobie pamięć na długo niezatartą.

Ś. p. Izabela z Szaniawskich Skiwska,

zmarła w Warszawie 14 stycznia, w 95-ym roku życia. Znała z dobroczynności, zasiłała znaczną ofiarą Przytułek dla ubogich matek, którego przez długie lata była protektorką, a prócz tego uczyniła kilka legatów na cele filantropijne. Starożytne umeblowanie stylowego salonu z mieszkaniem swego przy ul. Miodowej, które zajmowała przez przeszło pół wieku, ofiarowała Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości w domu Baryczków na Starem Mieście.



Ś. p. Piotr Paweł Piano.

W dniu 19 stycznia zmarł ś. p. Piotr Paweł Piano, majster mularski. Urodzony

w r. 1843, po ukończeniu nauki i praktyki, w 33 roku życia, po złożeniu odpowiednich egzaminów, zaliczony został w poczet majstrów cechowych. Pod kierunkiem jego wzniesiony został cały szereg nader estetycznych budowli. Doszedłszy do 50 roku życia, z powodu nadwężenia zdrowia i wieku podeszłego, przestał pracować. Zmarły pozostawił testament, którym posiadłość swoją „Piotrówka” pod



Pyrami, obszaru 24 mórg i 90 prętów, a wartości około 150,000 rb., zapisał na rzecz sanatorium w Rudce, z warunkiem wybudowania na tym gruncie gmachu sanatorium, za fundusze, osiągnięte ze sprzedaży części pomienionego gruntu, lub też ze składek publicznych.

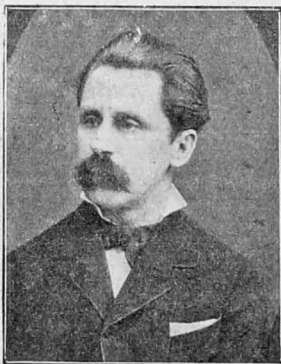
Ś. p. Dr. Bolesław Gepner,



jeden z najbardziej znanych i zasłużonych okulistów polskich, lekarz naczelny Instytutu Oftalmicznego im. ks. Lubomirskiego, członek honorowy Warszawskiego Tow. Lekarskiego, czł. Tow. przyjaciół Nauk w Poznaniu i t. d., zmarł w Warszawie, 26 b. m. w 78 roku życia.

Ś. p. Józef Pobóg-Krompolc,

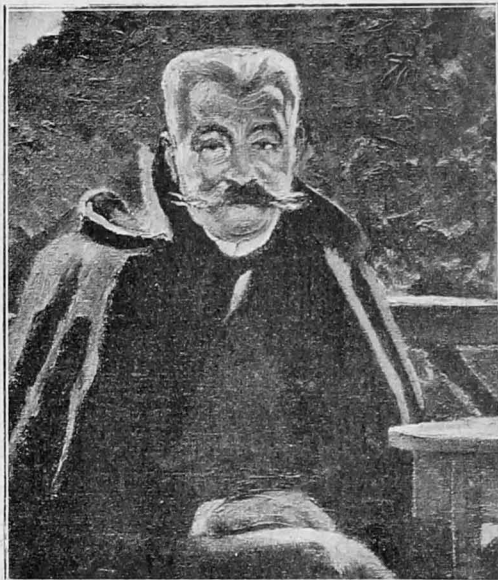
b. obywatel ziemi Piotrkowskiej, zmarł w Warszawie w 69 roku życia. W kilka dni po śmierci otwarto testament zmarłego, w którym mieszczą się następujące zapisy: 69,724 rs. na warsz. Pogotowie Ratunkowe, 5000 rs. na biednych m. Warszawy, do uznania Tow. Dobroczynności, i 999 rs. na kościół parafialny we wsi Chelmo gub. piotrkowskiej. Nadto bibliotekę swą zapisał zmarły na rzecz Warszawskiej Biblioteki publicznej przy ul. Rysiej.



Ś. p. Władysław Dmochowski

zmarł d. 13 b. m. w majątku swym Biniaconie w gub. wileńskiej w 75 roku życia. Syn pejzażyisty, Wincentego, zamierzał pójść śladem ojca, kształcąc się początkowo w Wilnie, a następnie w Paryżu, gdzie przed 50 laty zawarł ścisłą przyjaźń z Juliuszem Kossakiem, którego był ucz-

niem, uczęszczając równocześnie do szkoły malarskiej Suisse'a. Powróciwszy do kraju, wystawiał około r. 1870 prace swe w Tow. Zachęty, równocześnie pracując, jako ilustrator, w „Tygodniku” i „Kłosach”. Pierwsze kroki znamionowały niezaprzeczony talent w kierunku rodzajowym którego ulubionym tematem był koń, sceny myśliwskie i t. d. Odziedziczywszy przed 30 laty majątek na Litwie, przeniósł się na rolę i wśród prac i kłopotów stanu ziemiańskiego powoli zaniechał kariery artystycznej. Jako człowieka, cechowała go nieskazitelność charakteru, odziedziczona tradycyjnie, i niczem niezachwiana ufnosć w lepszą przyszłość sprawy, którą nad wszystko umiłował.



W. Dmochowski, wedł. portr. Piątkowskiego.

Treść № 5 „Świata”.

Pod kołami fortuny. m.
Lwów ruski (Z 6 il.) A. Ch.
Przełom w prawoznawstwie. (Z 1 il.) Dr. A. Peretiatkowicz.
Miss Wakana Utawaga w Warszawie. (Z 6 il.) A. Nowaczyński.
Turcy. (Z 5 il.) E. Zoryan.
Winda W. Perzyński.
Z nadniewskiej stolicy. Bh. K.
Przenosiny rogatki. (Z 6 il.) W. Z.
Włodzimierz ks. Czetwertyński w resursie kupieckiej. (Z 1 il.)
Sny. Bh. Kutyłowski.
Aktor i rola. Wacław Grubiński.
Z muzyki. (Z 5 il.) J. R.
Dyrektor. galic. Banku krajowego. (Z 1 il.)
Polacy w Wiedniu. (Z 1 il.)
Ofiara rozstroju duchowego. (Z 1 il.)
Historia Malarstwa.
Nowy kurs. (Z 3 il.) d.
Bojkot francusk. kultury w Belgii. K. D. S.
Pani Poincaré. (Z 1 il.)
Humor i satyra. (Z 1 il.) K—c.
Z kroniki towarzyskiej. (Z 2 il.)
Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.
Żałobna karta. (Z 6 il.)

ODDZIELNE ILUSTRACJE:

Ze sztuki obcej.
Wielki Kraków. (2 il.)
Wybory nowej Rady miejskiej we Lwowie.
Kierownicy i artyści Teatru Polskiego w Warszawie.
Pamięci wielkiego aktora.
Szkolnictwo krakowskie.
Prezes nowego gabinetu francuskiego.
Katastrofa budowlana przy ulicy Koszykowej w Warszawie.



Z Kalotechniki.

Nr. 44. Woda D-ra Rix'a przywraca naturalną barwę włosom siwiejącym, jest dobrą tak dla blondynek, jak i dla szatek. Farba d-ra Phonsec'a jest trwałą, nie brudzi i daje b. ładny czarny odcień.

Nr. 8. Krakowiance. O ile czerwoność twarzy i nosa pochodzi z odmrożenia, to środek Eros radykalnie ją wyleczy. Bliznę na czole usunie tylko systematyczny masaż. Włosy wygubi dépilatoire Lotos. Wyroby nasze w Krakowie dostanie Pani u Miklaszewskiego, pl. Dominikański, 1.

Nr. 3. O. A. Moczyć nogi codzień w ciepłej wodzie z sodą. Od-cisk smarować co drugi dzień jodyną.

Oprócz tego zalecamy nosić miękkie podeszewki w bucikach.

Nr. 91. Najodpowiedniejszym z kremów do twarzy jest krem Radium, gdyż nie zawiera on żadnych szkodliwych domieszek. Wągrzy usuwają się w Kalotechnice z najlepszym rezultatem, bez pozostawienia najmniejszych śladów tychże. Następnie płyn Vesta oraz Perelki alkaliczne zabezpieczą skórę od wągrów. Znaki i plamy po zadawnionych krostach usunąć można tylko za pomocą masażu wibracyjnego.

Nr. 17. Wyczeszki włosów przysłać do Kalotechniki dla analizy. Lekarz zbada i zaleci odpowiednie środki. Analiza kosztuje rb. 3. Porady w Kalotechnice codzień od 4 — 6.

Nr. 112. Elixir radiowy usuwa nieprzyjemną woń z ust oraz higienicznie konserwuje jamę ustną. Myć się Otrąbkami Vesta z Wodą różaną radioaktywną przy tak wrażliwej cerze. Wszelkie opierzchnięcia, łuszczenia się skóry, liszaje goi radykalnie Emulsja Radium.

Środki wymienione tutaj wysyła za zaliczeniem Kalotechnika, Marszałkowska, 116, telef. 16-73. W Wilnie Gruzewski, w Kijowie Jurotat, w Odesie Anderski, w Łodzi Spitss, w Piotrkowie Kryński, w Radomiu Cieszkowski, w Lublinie Bernatowicz, w Sosnowcu Jagiełłowicz, we Lwowie Pawłowski, Akademicka, 21.

Zarząd Kalotechniki.

Poradnik higien.-kosmetyczny.

Pielęgnowanie zębów przy kuracji żelazisto-arszenikowej.

W lecznictwie i kosmetyce żelazo i arszenik odgrywają ważną bardzo rolę. Stosowane są one w znacznej ilości cierpień, jako środki wzmacniające, pod postacią przeróżną. Lecz zazwyczaj wywierają one ujemny wpływ na zęby. Skutecznie zapobiedz temu można przez odpowiedni wybór środka konserwującego zęby i zapobiegającego ich psuciu.

Jak praktyka wykazała, najodpowiedniejszym do tego jest preparat „Tlenol“, przyrządzony podług re-

cepty dr. N. Cybulskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej.

Środki te (eliksir, pasta i proszek) winny być stosowane ściśle podług przepisu. Szczegółowy sposób użycia dołączony jest do preparatów, które właśnie dzięki tym zaletom w krótkim stosunkowo czasie zdobyły sobie powszechne uznanie.

Pigulki Sanguinal Krewela.

Ludzką całą w czasach obecnych najwięcej trapią wszelkiego rodzaju anemie, osłabienia, blednica i neurastenia, powstałe na tle wyczerpania, czy to życiem, czy też pracą. Znakomitym w tych wypadkach środkiem są pigulki Sanguinal'owe Krewela, białe,

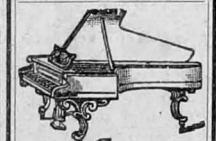
ocukrzane, odpowiadające w przybliżeniu 5 gr. krwi i z łatwością wchłaniane przez ustrój. Stosować je należy ściśle według wskazówek lekarza.

Papier Poudre Ltd.

Największym kłopotem wielu pań jest to, iż pod wpływem gorąca, panującego zazwyczaj w sali balowej lub koncertowej, twarze ich pocą się nadmiernie, pokrywając się jakby błyszczącą warstwą tłuszczu. Znakomitym w tym wypadku środkiem jest puder książeczkowy angielski (Papier Poudre Ltd.), który wchłania w siebie tłuszcz i pot i nadaje cerze piękny i zdrowy wygląd.

Dr. M. D.

„Rendez-vous” dla przyjezdnych. „BAR EXPRESS” 80, Jerozolimska, 80. Restauracja Pierwszorzędna. Wspaniały lokal. Osobny pokój dla Pań. Nowość! Pokoje gościnne w piwnicy urządzone na sposób zagraniczny. Ceny niskie.



MAŁECKI

SKŁAD przeniesiony na Nowy-Swiat 34, Telefon 170-65.
Fabryka: Belweder, Zaokopowa 3, tel. 283-70.
RATY na dowolnych warunkach.
Wynajem, gruntowna reparacja i strojenia.





Neurastenia
płciowa

i LECYTAL

Prof. Kronmayr o Lecyталu

Prowadzone przez prof. Kronmayra badania wykazały, że lecytyna jest jedyną substancją, zdolną wytworzyć w organizmie ludzkim siłę i energię, oraz wzmoczyć funkcje i działalność organów. Osłabione kiszkami nerastenika nie są jednak w stanie wchłoniąć potrzebną ilość lecytyny, aby uczynić je zdolnymi do tej pracy, należy wprawdzie je sztucznie, co się daje osiągnąć za pomocą różnych fermentów roślinnych. Lecytyna w połączeniu z fermentami roślinnymi, czyli dyjastazami—to LECYTAL Medyczno-Farmaceutyczne-Towarzystwa, jedyny preparat wyrabiany zgodnie ze wskazówkami prof. Kronmayr'a. LECYTAL Medyczno-Farmaceutyczne-Towarzystwa zawiera to wszystko, co wchodzi szczególnie w skład rozmaitych innych przetworów odżywczych, t. j. fosfor, wapno, żelazo, hemoglobinę—wszystko substancje wytwarzające krew.

Wskutek tego jest LECYTAL najbardziej skutecznym środkiem, przewyższającym pod tym względem wszystkie inne, stosowane dotąd przy neurastenii, małokrwistości, upadku odżywiania, osłabieniu, działalności kiszek i narządów płciowych (niemoc płciowa) oraz systemu nerwowego i mięśniowego. Jest nie do zastąpienia u osobników osłabionych, przemęczonych, oraz u ozdrowieńców, może być stosowany zarówno u dzieci jak u położnic i karmiących, u dotkniętych wadami serca i zwapnieniem tętnic oraz u zgrzybiałych starców.

W jakimkolwiek stanie rozprzęgu znajdowałby się organizm, LECYTAL, zdaniem prof. Kronmayra wleje w niego nowy zasób energii życiowej, wzmocze zamianę materii i przyspieszy wydalanie z organizmu szkodliwych substancji. Broszury wysyła się bezpłatnie na pierwsze żądanie.

Cena pudełka, zawierającego 50 pastylek Rb. 5.—, 100 pastylek Rb. 9.—Wysyłka za zaliczeniem.

Skład główny: Medyczno-Farmaceutyczne Towarzystwo. St.-Petersburg. Artyleryjska № 2. Oddział 0-40. Sprzedaż we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

7909

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 1 lutego 1913 roku.

Nr 5

Józef Weyssenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

19

— Tak, moje serce. Każdy chce się trochę odpolerować między ludźmi; nie można ciągle na wsi siedzieć; człowiek śniedzieje, tyje...

— Ja nie utylam. Chyba tatuś?

— Co ty mówisz?! Uważasz, że utylam?

— Trochę w pasie.

— O, psia! — najgorzej —

— Ej, nie... tak mi się może wydawało... Zresztą powiem tatusiowi: mówię na przekór, bo jestem w złym humorze.

— Toś się odemnie odrodziła; ja nie jestem nigdy w złym humorze.

— Bo Olczakówna chce od nas odejść.

— Giez ją uciał, czy co? — może za mąż wychodzi?

— Mówi, że nie; tylko dwór jej się uprzykrzył, tęskni do chaty.

— Przeczytała chyba jaki stary romans? Dodać jej rubla na miesiąc, odechce się jej wioszczki.

— Mnie się zdaje, że zadurzyła się w kimś, który jej nie chce.

— Proszę, proszę — — dramatyczna awantura!

— Zdarza się, tatusiu.

Manieczka wygłosiła to zdanie z tak niezwykłą powagą, że Broniecki przyjrzał się córce, na chwilę sam spowaźniał i wysnuł moralność stosowną:

— Zdarza się właśnie wtedy, kiedy dziewczeczka siedzi na par-

tykularzu i mało kogo z młodych mężczyzn widuje. A tu wiosenka życia kwitnie, szepcze do uszka — — i niema z kim o tem pogadać. Wtedy pierwsza-lepsza para wąsów wydaje się ideałem. A kiedy ideał wasy zwróci w inną stronę — tragedia! Nie mówię o Magdzie — uprze się, to niech sobie idzie do chałupy. Ale i ty, Maniusz, nie masz tu stosownego towarzystwa.

— Dlaczego?

— Mówię: towarzystwa młodych. Spraszać ich do Sławoszewa nie wypada; to jakbym się prosił, żeby mi cię zabrano.

— Tych warszawiaków ja nie lubię — rzekła Manieczka z przekonaniem.

— Nie swatam cię przecie z łykiem warszawskim; wogóle cię nie swatam. Ale w Warszawie spotyka się cały kraj, więc i całą młodzież.

— W kabaretach! — palnęła Mańka.

— Któż ci to powiedział?! — zapytał zdumiony Broniecki.

— Byłam już przecie w Warszawie; wiem, jak tam żyją przyjezdni ze wsi.

— Co ty tam wiesz, moje dziecko! —

Pan Józef, który sam nie stronił w Warszawie od nocnego życia, był wcale niezadowolony z uświadomienia córki w tym kierunku. Zaczął, przeciw swemu zwyczajowi, wydziwiać nad wiecznością:

— Tego groszku jeść już nie

można — struś by go nie strawił —

— Nie udał się ogrodnikowi ostatni posiew, tatusiu. Już późno, nie chce się wiązać w strączki młodszy — a to stary groszek.

— Bo się ogrodnik rozbrykał. Ostatniej niedzieli wyjechał bez pozwolenia do Łowicza, wrócił po północy, z nogami na fornalu. Wyleję go.

Manieczka zamilkła, choć wiedziała, że ogrodnik jest umiejętny i uczciwy, a podchmiela sobie tylko w święta, bez szkody dla ogrodnictwa. Zmiarkowała, że sprawiła ojcu przykrość, więc prawie rozrzewniona jęła go głaskać ustepliwymi słowami:

— Wie tatuś co? — weźmiemy Magdusię z sobą do Warszawy —

— O, widzisz: dobra rada. Rozerwie się dziewucha i wywietrzeją jej z głowy pomyłone romanse.

— A ja mogę z tatusiem zamieszkać w hotelu, nie u cioci Obichowskiej? Będę miała swoje służącą —

To nie trafiło do przekonania panu Józefowi:

— Trudno będzie. Ja mam dużo interesów. Ciągłe z tobą chodzić nie mogę, a jakże we dwie takie sarenki będziecie się szastały po ulicach, po restauracjach? — niepodobieństwo!

— Dobrze; to będę mieszkała u cioci.

— A pocziwa pani Rozalia umieści i twoją służącą. Ciotunia ma i mieszkanie, i serce obszerne.

— I będę przyjmowała, kogo mi się podoba, w salonie cioci?

— No... porozumiesz się z nią łatwo.

— Družbackich?

— Pewno, pewno — starzy jej znajomi.

— A pana Czemskiego?

— Czemskiego? — zadziwił się Broniecki. — Tego nie zna ciotka Rozalia.

— To go pozna.

Ojciec popatrzył bystro w oczy córki, która nie umknęła spojrzeniem, lecz zarumieniła się. Ułożył sobie szybko w głowie szereg przypuszczeń, lecz nie chciał nalegać i mówił dalej, niby niedbale:

— Dobry chłop, ale w głowie coś nie rychtyk.

— Jakto?! bardzo uczony!

— Przez obcych nam ludzi, przez szkodników.

— To go trzeba do nas przyciągnąć.

— Próbuje. Ale ma w głowie cudzą bibułę zamiast własnych myśli. Ty zaś, córuchno, nauczyłaś go... naprzykład, oberka, lecz nie obywatelskiej roboty. On zresztą ucieka od nas, ma w mieście swoich kamratów, gryzpiórków, a na wsi chłopów, z którymi ani be, ani me — porozumieć się nie może. Chciałby, żeby chłop był ślicznie wycięty z jego gazety, a chłop jest na złość zupełnie inny, taki, jakiego my znamy.

— Ja mu to samo mówiłam! — wtrąciła żywo Manieczka.

— Boś po ojcu rozumek wzięła, córuchno.

— Więc nietylko do oberka, tatusiu?

— I jęczyczek po ojcu!

Uściskał pan Józef córkę i zapanowała między nimi zwyczajna zgoda, oparta na gorącym przywiązaniu i wzajemnej pobłażliwości.

W garderobie wszczął się ruch, zwany „pakowaniem“, który nie był prostym aktem złożenia do kufrów rzeczy, potrzebnych na pobyt w Warszawie, ale długim ich doborem, pełnym artystycznego namysłu. Trzeba było odświeżyć kilka sukien, przeciągnąć nowe wstążeczki przez „wstawki“ różnych batystów; dać kowalowi do naprawy zamek od kuferka, oderwany poprzednio z niecierpliwości, że klucz się gdzieś zapodział — wykonać mnóstwo niezbędnych robót.

Magdusia, gdy się dowiedziała, że pojedzie do Warszawy, rozplakała się najprzód nad swym losem, potem zaczęła mu się przyglądać i doszła do wniosku, że los jest tymczasem nie srogi, nawet ponętny. Wróci stamtąd przecie, a tymczasem zobaczy wielkie miasto, o którym nasłuchiwała się dziwów, rozjaśni strapiione myśli, zobaczy, jak to ludzie tam bawią się, a tańczą, a

zalecają się, a stroją — — zobaczy i rój chłopców: paniczów, studentów i gminiaków cudnie ubranych, — może z dziesięć razy tyle chłopów, ile na jarmarku w Łowiczu widziała. Może jej kto wybije z myśli dziwaka Rykonia, który i łaskaw na nią i jej nie chce, jakoby jakiej zapowietrzonej — — Ej, nie! Rykonia nie zapomni, ale na innych spróbować można, czy też oni tak nieczuli? — — Więc Olczakówna, gotując stroje dla panienki, nie zapomniła też o swoich, dworskich i chłopskich, bo niewiadomo, jak się tam ubrać wypadnie. Marzyła nawet, że dostanie do jednych kapelusz, do drugich burztyny.

A wieś, jakby na pożegnanie dobrych ludzi ze Sławoszewa, wdzięczyła się w rozjaśnionej pogodzie, pod koniec października. Oziminy tak pięknie podrosły, że obawiali się gospodarze, aby nie wysiliły zbytnio swych zielonych pędów przed zimą. Udawały tymczasem wiosnę, zaścieniając wielkie, regularne płaszczyzny, graniczące z rolą przeoraną, o jędrnym połysku skib świeżych, z drogami szaremi, z łąkami, na których płowe stogi dumały, jak grobowce minionej krasy traw, z lasem, wiecznie młodym przez odmiany swych liści i szpilek, przez gatunki żywe i dzikie, które go zaludniają. Las, niewiadomo kiedy, piękniejszy: czy na wiosnę, kiedy go młoda zieleń ogarnie; czy jesienią, kiedy złotem skrzy się i kapie, a rozbijała zielenią sosen i jodeł uraga ogólnemu przymieraniu?

Przez taki las słoneczny, pachnący jeszcze żywicą i już fermentem opadłych liści, jechał powóz otwarty, w cztery konie, mieszczący Bronieckiego z córką, bryczka z Magdusią, otoczoną mniejszym bagażem, i jeszcze wóz z kuframi. Wszystko to dążyło do stacji kolei żelaznej. Na granicy Manieczka odwróciła się do uciekającego Sławoszewa i lekko westchnęła, żegnając dom i lato, niby ukochańsze jeszcze w tym roku.

— Cóż tak wzdychasz, córkuś? Nie emigrujemy przecie do Ameryki.

— Ach, nie! — — tylko tyle grzybów widziałam po drodze; myślę, czy szafarka nie zapomni zamarynować — —

XI.

Chociaż jedna siedziba ludzka, najwyżej zbudowana, opustoszała, okolica nie zasmęciła się

bynajmniej. Lęgowi mieszkańcy pozostali przy ziemi, która ich zrodziła, ciągnęli z niej dalej soki żywiące, stosowali swe zajęcia do jej wiecznych przemian. Błękitnie barwione chaty Mielna ciężej jakoś przylegały do ziemi w powietrzu jesiennym, ale było w nich raczej weselej teraz, niż za natężonej roboty letniej, gdy większa część mieszkańców na cały dzień wyrastała się w pole. Siedziały wszystkie kobiety i dzieci, w granicach gospodarskiego obejścia. Póki światła, po stodołach dudniły młocarnie, obracane przez dwuramienne kieraty; w niejednej sadybie waliły jeszcze rytmicznie starodawne cepy ręczne. Koniom coraz częściej trzeba było zadawać na zakładkę w stajni, bo polne pastwisko, i tak dość chude, było o tej porze prawie całkowicie wyżarte. Ludzie i bydło coraz ściślej skupiali się w okólniku, aż póki na zimę nie zamkną się szczelnie w swym drewnianym gródku. Trzy razy na dzień wszyscy domownicy zasiadali w izbie do stołu, na śniadanie, obiad i wieczerzę — bo już podwieczorki skasowano od świętego Michała. — A tkactwo lnu i wełny zajmowało kobiety przy kołowrotkach i warsztatach, nietylko ze zwyczaju i obowiązku, ale dla honoru, bo każdy człowiek musi mieć przecie z własnego lnu koszulę — im cieńszą, tem godniej — i wełniakiem własnym godzi się popisać gospodarskiej rodzinie. Więc w chacie każdy kąt był pełny użytku, roboty, osobnego postuku lub szmeru — i cała chata gadała mową swą własną, od przebudzenia aż do snu, nawet bez udziału głosów ludzkich. A gdy po krótkim już dniu zabłyśły frontowe okna od lamp i ognisk, mrugliwy różaniec światła wydłużał się na wiorsty w klamrę, ogromny w mroku i radujący oczy, że tylu nas jest w gromadzie — nie damy się złodziejowi, ani komu.

Wszystkie porządki najpiękniejsze zawierała osada Jana Rykonia; najlepszy pono miał zbiór, najteższy inwentarz, obfity sad owocowy, pańskie narzędzia rolnicze, sławne kury, bo też i głowa nad tem wszystkim czuwała naczelną. Napatrzawszy się dużo świata, Jan zagrzebał się do ulepszeń w gospodarstwie, a szczególnie do szerszej organizacji wspólnej roboty, niż ją mieli mielnicy w swem kółku rolniczym.

DCN.

Rozmówki warszawskie.

Wokoło bojkotu.

Sklep polski z pewnego rodzaju drobiazgami — jakimi, to obchodzi tylko kupca i jego klientów, — a nie was, czytelnicy.

Do sklepu wchodzi pan Iksiński.

Potrzebuje drobiazgu *n*. Właśnie mu się przypomniało. Dawniej kupował drobiazgi *n* stale na ulicy *x*, w sklepiku żydowskim. Ale teraz — bojkot. Poszedł więc o dwie ulice dalej, wyczytywał pilnie szyldy na magazynach, zaważał się raz i drugi, nareszcie znalazł szyld, na którym wypisane było imię słowiańskie: na *ślaw* i nazwisko polskie: na *ski*.

— Dobra nasza, — myśli sobie. I wszedł.

— Proszę o drobiazgi *n*.

Kupiec jest poważny i uprzejmy.

— W jakim gatunku życzy sobie pan?

— W najtańszym.

Za chwilę drobiazgi *n* zjawia się na ladzie sklepowej.

Pan Iksiński ogląda go pobieżnie.

— Doskonale, — powiada. — Taki sam właśnie, jaki zawsze kupuję. A nawet z tą samą marką fabryczną. Proszę zapakować. Co płacę?

— Dwa złote...

Pan Iksiński robi oczy okrągłe. Mnie ma, że się może przesłyszał.

— Co? Dwa złote?

— Tak jest. Dwa złote, proszę pana dobrodzieja. Trzydzieści kopiejek.

Pan Iksiński nie wie, czy się gniewać, czy trzasnąć drzwiami bez jednego słowa, czy się roześmiać szyderczo i wyjść, ukłoniwszy się ironicznie. W końcu postanawia — po przyjacielsku pogawędzić z kupcem polskim, którego tak starannie szukał po ulicach przez dwadzieścia minut.

— Proszę pana, czy nie może mi pan tego oddać taniej?

— U mnie są stałe ceny, proszę pana...

— Ale te ceny są także i — drogie.

— Zawsze biorę po dwa złote za ten towar. To nie fantazje, proszę pana. To jest oparte na ścisłej kalkulacji...

— Ja zawsze kupowałem te rzeczy w żydowskim sklepie. Tak jakoś było mi po drodze... Czy wie pan, ile płaciłem?

Kupiec obojętnie przyjmuje zapytanie. Nie jest tak znowu bardzo ciekawy dowiedzieć się, ile jakiś Iksiński płaci w innym sklepie — za ten sam towar.

— Czterdzieści groszy.

Pan Iksiński śledzi bacznie twarz kupca polskiego. Ale twarz kupca polskiego nie zdradza wzruszenia.

— I co pan na to? — nastaje Iksiński.

— Cóż, proszę pana, możliwe. Nie przeczę...

— A dostać ten sam towar po tej samej cenie w pańskim sklepie — to niemożliwe?

Kupiec się rozkrochala.

— Proszę pana, ja panu wytłomaczę moją sytuację handlową, sytuację polskiego kupca. Sam pan tedy osadzi, czy ja mogę sprzedać za 40 groszy towar, który dostanie pan w tej cenie u żyda?

— Słucham pana...

— Ja jestem polakiem, należę do narodu cywilizowanego, wychowałem się starannie w domu kulturalnych rodziców. Mój ojciec był urzędnikiem, za Wielopolskiego wstąpił do służby, w końcu został emerytem. Kiedym się ożenił,

pragnąłem utrzymać dom na tej samej choćby stopie. Jak mnie kształcono, tak i ja dzieci moje kształcę. Posyłam je do polskiej szkoły naturalnie. Polska szkoła jest droga. Prenumeruję polskie pisma. Kupuję polskie książki. Należę do Towarzystwa miłośników historii, do Towarzystwa ochrony zabytków, do Towarzystwa opieki nad dziećmi więźniów. Rozumiem, że mam obowiązki względem społeczeństwa i staram się je wypełnić. Potrzeby, potrzeby kulturalne — oto, czego taki kupiec, co panu drobiazgi *n* sprzedaje po 40 groszy, zupełnie nie rozumie. Obowiązki społeczne — oto coś, na co taki sobie poprostu gwizdże. Niech pan policzy jedno i drugie, — boć jedno i drugie kosztuje, — wszak prawda? — a przekona się pan, że ja taniej od dwóch złotych tej rzeczy sprzedać panu nie mogę.

Słuchał Iksiński uważnie. Zamyślił się głęboko. Wreszcie rzekł:

— A no tak, pan masz rację...

— A widzi pan dobrodzieju...

— Pan masz zupełną rację. Ale, drogi panie, ja także mam potrzeby kulturalne i obowiązki społeczne, które staram się zaspokoić i wypełnić, jak umiem.

I ja mam dzieci, które posyłam do polskiej szkoły. I ja wychowany byłem w domu, stojącym na jakimś poziomie higieny i przyzwoitości. I ja prenumeruję polskie pisma. I ja kupuję polskie książki. I ja jestem członkiem różnych towarzystw, gdzie płacę składkę, a nawet i tego samego Towarzystwa miłośników historii, co i pan. Jesteśmy trochę koleczy...

Kupiec się uśmiecha. Staje się odrobinę figlarnym:

— A kiedy przyjdzie maj, to niezawodnie pani dobrodziejka czuje, iż w mieście jest za duszno i że musi na letnie mieszkanie wyjechać?

— Ma się rozumieć, drogi panie.

— Zupełnie, jak moja.

— Tak. Jesteśmy ludzie tej samej pozycji, tych samych porzeb, tych samych obowiązków. Tylko, zamiast, żeby pan wypełniał swe obowiązki i zaspakajał swoje potrzeby za *moje pieniądze*, ja wolę wyrzec się drobiazgu *n*. Nie kupię go wcale. Będę miał z tego powodu trochę kłopotu, prawda... Moje uszanowanie panu.

B. Młodywul.

Gerald Villers-Stuart.

Tłumaczyła Zofia Hartingh.

TRAGEDYA DUCHA.

Aż do 28-go roku życia uczucia Alicji drzemały nierozbudzone w sercu. Usposobiona ona była krytycznie do świata, choć świadoma była jego uroku i piękna, co zwiększało jeszcze w niej poczucie próżni i bezcelowości życia. Piękno i życie natury potęgowało w niej uczucie bezdennej pustki i osamotnienia.

Wielu mężczyzn starało się o jej rękę, ale odrzucała jedną partycję po drugiej, bo jakiś instynkt wewnętrzny mówił jej, że nie napotkała jeszcze tego, który mógłby wytłomaczyć jej zagadkę bytu, umysł jej dotychczas daremnie dręczącej.

Nareszcie Henryk stanął na drodze jej życia, i od pierwszej chwili zrozumiała, że był on tym, na którego czekała tak długo i z którym dzielić się będzie mogła swoim doświadczeniem.

Pokochali się umysłem, duszą, sercem, istotą całą... szeptem i wibracją dusz, porozumiewających się wzajemnie jednym tchnieniem. Świat nie miał nic wspólnego z ich miłością i nie stawiał im żadnych przeszkód. Oboje byli zamożni i niezależni... pobrali się więc...

Henryk miał rodzinną posiadłość w Irlandyi, stary dwór z basztą, w którym zamieszkali po ślubie. Pracował on nad ambitnym dziełem o transcendentalnej filozofii i, zanim poznał Alicję, zwykł był godzinami całami błądzić samotnie po lesie, ze strzelbą, której rzadko używał. Teraz błądzili we dwoje, pod niebotycznym sklepieniem starych dębów i sosen, siadywali na pniu spróchnia-

łym drzew, wpatrując się w siebie i wymieniając uściski i zwierzenia. Wielkie dzieło postępowało szybko, a Alicja przestała sztydzić z życia i uśmiechała się do niego słodko i z ufnością.

Kochali się w ten sposób, uśmiechali i pracowali wspólnie przez trzy lata; potem narodziło im się dzieciątko, które nigdy nie ujrzało życia, i naraz, cały niebotyczny gmach szczęścia runął i rozpadł się w gruzy.

Henryk klęczał u stóp łoża i drgające konwulsyjnie, rozpalone dłonie chłodził w uścisku rąk swoich. Dozorczyni stała u wezglowia, młoda, zdrowa, silna, jakgdyby wessała była w siebie żywotność wielu pacjentek.

Cały wspaniały proces mózgowy tej wyjątkowej umysłowej organizacji, spalonej gorączką, zredukował się teraz do jednej formułki, powtarzanej wciąż bezmyślnie. Był to może skutek chloroformu, zaćmiewający chaotycznie poczucie rzeczywistości i przesłaniający oczy, jakby litościwym bandażem przed grozą ostatecznego rzutu w przepaść bezdennej próżni. Serce przestało uderzać rytmicznie; zatrzymywało się, to znów zrywało naprzód niepohamowanym tempem, a monotonna zwrotka formułki, zaczerpniętej kiedyś z dziecinnych, dalekich wspomnień, kołowała bezustanku w zmęczonym i wyczerpanym mózgu, i oczy wyteżały bezprzytomny wzrok w jakieś koło wirującej jasności u wylotu długiego, czarnego tunelu.

Spieczona usta powtarzały wciąż bezładnie słowa kołysanki, nucone kiedyś nad jej kolebką, gubiąc jedno po drugim we wzmagającym się wyczerpaniu pamięci; dłonie wyrwały się z rozpaczego uścisku przytrzymujących je rąk, aby się wyciągnąć ku jasności wirującej, ogromnej, rozbłyśnej w głębi czarnej czeluści gwiazdy; i naraz, spotęgowanym, ostatecznym wysiłkiem zdały się dosięgnąć jej. Piersi podniosły się cichem, rozradowanem westchnieniem. Nie wiedziała, dokąd zaprowadzi ją ta gwiazda; czuła się tylko bezpieczną pod jej kierunkiem i szczęśliwą... Zmęczenie ustępowało miejsca dziwnemu uspokojeniu... Czuła się senna, bardzo senna, i zapadała w sen coraz głębszy, cichszy, jak w przepaść nicości czy odrętwienia.

Dozorczyńni pochyliła się nad bladą twarzą, zagłębioną w batyst poduszki; potem spojrzała na zegarek i ręką dotknęła zlekka ramienia rozkrzyżowanego w boleści u stóp łoża mężczyzny.

Kiedy Alicya odzyskała świadomość, ujrzała się przepływającą przez tunel, ale zamiast gwiazdy, do której błagalnie wyciągała była ręce, inna jakaś jasność u wylotu wabiła senne jej oczy. Przymknęła powieki z rozkoszą wewnętrznego zadowolenia i skupiła się niejako w sobie, jak ktoś, ocknięty ze snu i podzielony jeszcze między jawę a złudzenie. Czuła się niesioną naprzód jakimś prądem, wodnym czy powietrznym... nie wiedziała sama, jakim. Zdjęta ciekawością, otworzyła znów zamglone oczy...

Tak, to musiała być woda, bo, wypłynawszy z tunelu, ujrzała przed sobą rozciągnięte, ciche, lśniące jezioro. Dziwna rzecz, że zawsze takie niewytłomaczony urok miały dla niej jeziora i zawsze marzyła o tem z Henrykiem, żeby kiedyś, o świcie, popłynąć z nim razem brzegiem takiej srebrnej, sennej, zaczarowanej toni.

Musi teraz jutrenka świtać na niebie — pomyślała, bo postrzępione brzegi jeziora spowite są w białe opary, a wysepki migocą niewyraźnie w brzasku, i tylko kolumny świątyni na jednej z nich przebijają się z poza kadzideł ofiarnego dymu. Ale nie... to nie kadzidło... to białe welony rannej mgły, które taką woń rozkoszną rozlewają dokoła... woń heliotropu... jej ulubionego heliotropu!...

Tak — o takim jeziorze śniła całe życie... Przez mgły widziała rododendrony, pochylające się nad wodą i osypane kwieciami, niby złocistymi, przyćmionymi światłami miasta, zaskoczzonego znienacka przez brzaski dzienne. Przez gałęzie rododendronów rysowały się coraz wyraźniej w oddali smukłe pnie jodeł... Choć to było to samo jezioro, które widywała w snach swoich,

piękność jego prześcigała wszelkie jej marzenia. Kontury obwodowej linii były tak doskonałe, mgły drapały się tak artystycznie w blasku różowej jutrzni, zwieszając się z gałęzi jodeł i mieniać się w barwach wschodu, a taka niebiańska harmonia płynęła gdzieś, z niewidzialnej oddali, w rozedrganem słonecznie powietrzu, że nigdy wyobraźnia nie przedstawiła jej nic tak uroczego pięknego.

I to uczucie bezgranicznych, tajemniczych przestrzeni, rozesłanych gdzieś w Nieskończoność, te opalowe, mieniające się blaski, w których wszystko nurzało się, drgało i zapadało, aby wypłynąć za chwilę znów... to światło, rozlewające ciepło, jak pieśczęotę...

Och! jakże to wszystko było porywająco pięknem!...

Naraz westchnęła... sama nie wiedząc, dlaczego... i zdziwiła się sama sobie, że wzdycha, a wysiłek zastanowienia zamroczył jej widzenie, jakby zwierciadło, w jakim się ono odbiło, zaćmionem zostało przez kogoś drugiego. Przymknęła oczy.

Kiedy otworzyła je znowu, ujrzała się wspinającą na schody, wiodące przez sieć rododendronów do jednej ze świątyni na wyspie. Spostrzegła, że stopnie te były wykute w kamieniu, porośłym pleśnią mchów, z pośrodku których sączyły się drobne kropelki wilgoci.

Pięła się zwolna, coraz wyżej, ponad rododendrony i smukłe masy jodeł, rosnących spadzisto, wśród fantastycznie postrzępionych i omszałych szczytów niebotycznych skał, a w miarę, jak wznosiła się w górę, nie przestawała się dziwić, czemu i za kim westchnęła, i dlaczego szklana tafla jeziora, rozpostartego u jej stóp, tak się nagle zaćmiła w jej oczach. Usiadła w wyżłobieniu skalnem, nie ażeby wypocząć, bo nie czuła zmęczenia, lecz aby swobodnie puścić wodze myślom.

Tam, w dolinie, jezioro, przetykane wysepkami, rozlewało się w mglistą jakąś nieskończoność. Chciałaby była raz jeszcze popłynąć niem, aby doświadczyć tego uczucia bezbrzeżnego zadowolenia i spokoju. Wpierw nie zdawała sobie dokładnie sprawy ze swego szczęścia i błogości... teraz dopiero rozumiała...

Naraz poczuła, że nie była samą na skale, a tajemniczy jakiś głos zagadnął ją:

— Czy odpowiesz na wołanie?

— Nie rozumiem... — odparła. — Nikt mnie przecież nie wołał.

— Nikt stąd nie wraca do bram, kto nie był wezwanym. Mieszkańcy ziemi są bardzo bezwzględni i samolubni.

— Nie rozumiem... — powtórzyła Alicya zdziwiona — ale chciałabym wrócić na fale jeziora. Tam tak pięknie... i tak mi tam było dobrze!

— A!... więc przedstawia ci się to, jako jezioro?...

— Nie wiem, co chcesz przez to

powiedzieć, — rzekła Alicya, powstając, — ale czuję, że jakaś siła zmusza mnie iść... Chcę dotrzeć do tej oto starożytnej świątyni... i przyrzuć jej się bliżej...

— Ale pamięć powróci...

— Dlaczegożby nie miała powrócić?

— Biada ci!... biada!... — zabrzmiał niktawy głos z wielkiej oddali, gdy chyżym krokiem zaczęła się wspinać na wzgórza. Dwukrotnie zawahała się i chciała zawrócić, ale nieprzeparta siła, ciągnąca ją ku górze, przemogła. Mieniające się opalowymi blaskami atmosfera, która przenikała ją taką błogością, poczęła rzędnąć, w miarę, jak Alicya wznosiła się w przeszerzeni; jakiś nieokreślony niepokój zawisł w powietrzu; pnie jodeł kurczyły się ku ziemi, splatając konarami ze sobą i przybierając groźny jakiś wygląd. Naraz jakby czarna błyskawica spowiła wszystko w nieprzebitą ciemność, a gdy Alicya wypłynęła z niej, ujrzała się pogrążoną w jakichś dziwnych, fiołkowych mrokach, wśród których wszystkie przedmioty odciły się, jakby aksamitnie, w obramowaniu delikatnie narysowanej, elektrycznej aury, nie promieniejącej nazewnątrż. Zdawało się, jakby wszystko tonęło w morzu fosforyscencji, którego drgająca, żywa, wzburzona atmosfera przesyconą była nawskroś wibracyjnymi prądami krzyżujących się, milczących myśli. Alicya czuła się porwaną tą falą wrażeń, które ją przenikały, jak rozkołysane dźwięki melodii jakiejs niewidzialnej orkiestry. Zatkęła uszy palcami, aby nie słyszeć gwaru duchów, rozbrzmiewającego w tej zakłętej ciszy, kiedy naraz, gdzieś, z niezmierzonej dali, doleciał ją głos Henryka, przepojony bezgraniczną tęsknotą:

— Alicyo!... Alicyo!... Alicyo!...

I teraz jeszcze nie wróciła jej pamięć ziemi, tylko całym porywem duszy poniosła się ku temu głosowi. Zerwała się i z zamkniętymi oczami, naoślep, rzuciła się naprzód, przez elektryczne, fiołkowe mroki.

— Stój! — zabrzmiał cichy jakiś, smutny głos łagodnej przestrogi, który ją zatrzymał u wejścia wąwozu, zagrodzonego po obu stronach niebotycznymi skałami o poszarpanych szczytach, które wydały się Alicy jakby kolumnami jakiejs świątyni. W progu stała zakwieiona postać Smutku, broniąca przejścia.

— Wróć się! — przestrzegala łagodnie.

— Alicyo! Alicyo! Alicyo!... — lkał głos z oddali.

— Puść mnie! — prosiła żona.

— Wróć do jeziora, które należy do was obojga. Zaczekaj tam na niego.

— Alicyo!... Alicyo!... Alicyo!...

— Muszę iść do niego!... Muszę!... Nie mogę znieść męki jego głosu!

— Czy nie było ci dobrze na je-

ziorze, gdyś płynęła błękitną taflą, wśród szmaragdowych wysp?

— Było mi, jak w raju! Ale chciałam podzielić szczęście moje i błogość z kimś drugim jeszcze!

— A!... skaza ziemską!... On przybędzie w swoim czasie... Wróć i zaczekaj na niego...

— Alicyo! Alicyo! Alicyo!...

— Puść mnie!... błagam... Puść do niego!

— Jeżeli przekroczysz niebezpiecznie ten próg, wróci ci pamięć, która ci przykuje do przeszłości, wróci ci świadomość i samopoznanie, i bezradna mądrość. Przemawiać będziesz do uszu, które ci nie będą słyszeć; stawać będziesz przed oczami, które ci nie będą widzieć. Połączoną zostaniesz nierozdzielnie z duchem, wcielonym w ziemską powłokę, i nie trafisz do twego rajskiego jeziora, póki ten duch także nie wyzwoli się z ciała; a i to wtedy tylko, jeżeli dzielić będziecie zawsze wspólne ideały. Trwać będziesz na progu, łączącym oba światy, łaknąc wezwania i lekając się go jednocześnie.

— A jeżeli wrócę na jezioro, jak prędko on tam przyjdzie, aby połączyć się ze mną?

— Tego nie wolno mi wyjawić.

— Tak rajsko było mi na fali!... Wrócę się... — zawahała się.

— Alicyo! Alicyo! Alicyo!... — łamał się głos w bezbrzeżnej rozpaczy.

— Puść mnie! — krzyknęła, rzucając się błagalnie do stóp zakwieconej postaci, która rozwiała się w powietrzu. Z wielkiej oddali tylko płynęło ku niej cichnące, żalosne tchnienie, jakby echo, powtarzane coraz słabiej przez zimne łono skał:

— Biada! Biada! Biada!

Przez zwarte kolumny niebotycznych skał Alicya wkroczyła do wąwozu, w którym panowało zamglone, sine światło, odsłaniające niewyraźnie w głębi zarysy strzaskanych kamiennych łomów, powalonych, jak zdruzgotane gromem pogąńskie bożyszcza. W migocącym, błękitnawym świetle trudno było dokładnie rozejrzeć się dokoła; tylko w oddali, u samego końca wąwozu, rysowała się wielka, nieruchoma postać kobieca, przybita do krzyża. Alicya, zmierzając ku niej, miała złudzenie, że szła z całą jakąś niewidzialną procesją duchów jedną stroną ulicy, podczas gdy drugą stroną ciągnął w przeciwnym kierunku drugi zwarty tłum milczących pielgrzymów.

Postać na krzyżu malała, w miarę, jak Alicya zbliżała się do niej. Naraz poznała ją... Była to ona sama, zagradzająca sobie przejście i ostrzegająca siebie samą, aby nie iść dalej. Cofnęła się wahająca...

— Alicyo!... Alicyo!... Alicyo!... doleciał ją zrozpaczony głos nieutulonej tęsknicy ziemi.

Rzuciła się naprzód w poprzek rozkrzyżowanej postaci, i naraz znalazła się w pracowni Henryka, w progu której odzyskała pamięć, przesią-

klą śmiertelnym bólem samopoznania.

Henryk siedział przed biurkiem, nad rozłożonym rękopismem wielkiego dzieła, nad którym pracowali niegdyś wspólnie. Ani jedno słowo nie zostało dodane do niego od chwili, kiedy ona odeszła ze świata. Po dacie kalendarza, zakreślonej czarnym krzyżem, poznała, że była to rocznica jej śmierci. Henryk trzymał w jednym ręku szyferek, spoczywający na tabliczce, na której widniało kilka nieczytelnych kresek; w drugim ręku tulił jej fotografię, od której oczy jego zbolale, stęsknione nie mogły się oderwać. Pierś jego podnosiła się westchnieniem; usta szeptały zcicha jej imię.

Najstraszliwszą chwilą jej tragicznej meki było, kiedy, stanawszy nad pochyloną, ukochaną postacią, zarzuciła jej ramiona na szyję w niewidzialnym, gorącym uścisku. Zrozumiała wtedy dopiero, dlaczego głos tajemniczy ostrzegał ją: *biada! biada!* i poznała, że żyzy żywych są jeszcze rozkoszą w porównaniu ze łzami, jakie wylewają zmarli. Tęsknica męża wywołała ją przez światy planetarne, wirujące w nieskończoności, wyrwała z toni rozkoszy niebiańskiego jeziora, skapanego w blaskach świtu, z zachwytów i błogości zapomnienia, z gwiazdy spokoju i nieświadomości, i sprowadziła ją na powrót na planetę, pulsującą męką udręczonych myśli i torturą przywróconej pamięci ziemskiej. Ramiona jej zaciskały się z niewysłowioną miłością dokoła ukochanej głowy, a Henryk, nieświadomy jej obecności, ani drgnął i szyferek w jego ręku nie poruszył się wcale... szyferek, który miał mu przynieść poselstwo jej z światów. Czuła każdym drgnięciem całej swej istoty mękę jego wytężo-

nego umysłu... pracę jego zgorączkowanego mózgu, a nie mogła przemówić do niego słowem pociechy. Wvrazy tłoczyły się na jej martwe usta, aby mu opowiedzieć o rozkoszach niebiańskiego jeziora i błagać go, aby rzucił tę okrokną ziemię bólu i szedł za nią w krainy światła i ciszy... a wołania jej nikt nie słyszał. Och! jakże to było okrutne!... sztydercze!... Więc żywi mogą przyzywać zmarłych, a zmarli nie mogą przywoływać do siebie żywych!... Ona, która z gwiazd spłynęła ku ziemi za głosem jego tęsknicy i tarzała się na jego piersi rozpaczonym uściskiem wyciągniętych ramion, i wołała go najczulszemi słowy miłości, nie otrzymywała żadnej odpowiedzi, i widziała go martwym, skamieniałym, zdruzgotanym bólem w swoich kochających, niewidzialnych objęciach! A jednak, gdy wszedł lokaj, którego sama kiedyś wyszkoliła na wzorowego sługę, dziś zaniedbany i opuszczony w swoim wygładzie, i oznajmił śniadanie, Henryk podniósł się apatyczny z miejsca i przeszedł wolnym krokiem do stołowego pokoju. Jadł mało... nic bo dziwnego... Jedzenie było niedbale przyrządzone i podane. Wszystko w tym domu, tak wytwornie i starannie zarządzanym niegdyś przez nią, było teraz zaniedbane i szło na marne. Nikt nie troszczył się o pana, zobojętniałego w smutku na wszystko, a służba, której nikt nie doglądał, używała na swobodzie i bezkarności. Alicya cierpiała nad tem w swojej bezsilności, aby zaradzić złemu, ale nikt jej obecności nie spostrzegał, — chyba stary ceter, który drżał, skomlił i tulił się, usiłując zwrócić uwagę pana swego na jej niewidzialną tragiczną obecność.

DCN.

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z angielskiego H. J. P.

5

Nieokreślone podejrzenie, że on ma jej coś do powiedzenia, skłoniło ją do twierdzącej odpowiedzi. I przecuciowo myśli jej pobiegły ku ojcu.

— Co takiego? — zapytała gorączkowo. Pan chcesz mi coś powiedzieć!

Nick siedział odwrócony, patrząc w wąwóz.

— Tak — rzekł po chwili.

— Co takiego? Powiedz mi pan — prędko! prędko!... Wiem... tu chodzi o mego ojca... Rano...

Urwała. Nick podniósł w górę rękę, jakgdyby nakazując jej milczenie.

— Droga Muriel — rzekł cichym głosem, — twój ojciec umarł

wczorajszej nocy, nim opuściliśmy fort.

Muriel wydała rozpaczny okrzyk; a on w jednej chwili zerwał się i znalazł przy niej na kłęczkach, tuląc ją do siebie, jakgdyby była dzieckiem, potrzebującym ukojenia. Nie odepchnęła go tym razem. Cios był zbyt silny i pochłonał wszystkie jej władze. W tych pierwszych, okropnych chwilach nie myślała wcale o Nicku, nie zdawała sobie nawet sprawy z jego obecności, doznając przecież nieokreślonego uczucia pociechy w jego objęciach. A on, bez słowa, tulił ją do siebie, kołyszac zlekka, podczas gdy twarz jego, pochylona nad nią, drgała gwałtownie, jak twarz człowieka, rozpiętego na łożu tortur.

Muriel pierwsza przerwała milczenie.

— Powiedz mi pan wszystko — wymówiła.

Wysunęła się z wolna z jego objęć, wciąż nieświadoma jego obecności, zwracając się do niego jedynie, jak do źródła informacji. Nick przybrał natychmiast poprzednią postawę. Rękoma oplótł kolana, a oczy przenikliwe i dziwnie błyszczące utkwili w przeciwległej ścianie wawozu.

— Stało się to wprędce po rozpoczęciu szturm. Jak tylko wyszedł od ciebie. Trafiony został w piersi tuż koło serca. Nie było żadnego ratunku. On sam wiedział, że umiera. Zanieśliśmy go do kwatery i zrobiliśmy, co było można, dla ulżenia mu cierpień. Przed skonem stracił przytomność. Wtedy przyszedłem do ciebie.

Muriel poruszyła się gwałtownie.

— I pan mi nic nie powiedziałeś? — szeptała twardo.

— Myślałem, że tak będzie lepiej, — odpowiedział z wielką łagodnością. — I tak nie byłabyś mogła pójść do niego. Nie chciał tego.

— Czemu? — zapytała i znów głos jej zabrzmiał ostro. — Czemu nie byłabym mogła pójść do niego? Czemu nie chciał tego?

Nick zawahał się chwilę.

— Ze względu na ciebie, Muriel, — odpowiedział, nie patrząc na nią.

— To znaczy, że tak cierpiał?

— Dopóki miał przytomność, tak! — odparł Nick niechętnie. — Ale to nie trwało długo — dodał spiesźnie.

Zdawała się nie słyszeć.

— A pan mnie oszukałeś — rzekła, — oszukałeś mnie, kiedy mój ojciec umierał. Nie dano mi go zobaczyć, ani przedtem, ani potem, ze względu na mnie! I pan myślisz! — tu podniosła głos — pan myślisz, że cośkolwiek może usprawiedliwić taki postępek ze mną? Myślisz, że to było litościwie oszukać mnie i wydrzeć mi to, co mogło mi się stać jedyną pociechą na przyszłość? Myślisz, że nie byłoby to dla mnie tysiąc razy łatwiejszem do zniesienia, gdybym była mogła wiedzieć i widzieć najgorsze. To było moje prawo! Moje prawo! Jak pan śmiałeś pozbawić mnie tego? Nigdy ci tego nie przebaczę — nigdy!

Zerwała się na równe nogi, wyrzucając z siebie te namiętne

słowa, ale wnet zachwiała się i wyciągnęła przed siebie obie ręce.

— Byłabym to przeniosła — wykrzyknęła rozpacznie — byłabym przeniosła wszystko — wszystko, gdybym tylko wiedziała!

I nagle wybuchnęła straszliwym łkaniem. Rzuciła się na ziemię, chwytając się mchu drżącymi palcami i wołając: „Ojczulku! Ojczulku!“ — jakgdyby to jej rozpaczliwe wołanie mogło sprowadzić jej go z powrotem.

Nick nie poruszył się tym razem. Siedział, patrząc sfinksowo przed siebie, i zdawał się nie myśleć o niej.

Dopiero, gdy wyczerpana do cna umilkła i dźwignęła się z ziemi, odgarniając włosy z nabrzmiałej od płaczu twarzy, zwrócił się do niej i podał cynową czarę.

— To tylko woda — rzekł łagodnie. — Napij się trochę.

Wzięła ją machinalnie i wypila, a potem opadła nawznak i leżała z zamkniętymi oczyma i dziwnym zamętem w rozpalonej głowie.

Po pewnym czasie uczuła znów jego ręce dotykające ją, ale była zbyt osłabiona, by otworzyć oczy. On zaś obmył jej biedną, splakaną twarzyczkę z kobiecą troskliwością, przygładził włosy i podłożył coś miękkiego pod głowę.

A potem usiadł w pobliżu i czuwał nad nią, aż wyczerpana przebytymi wstrząśnieniami zapadła w głęboki, krzepiący sen i spała długo.

V.

Było zupełnie ciemno, gdy Muriel obudziła się i zrazu nie mogła pojąć, gdzie się znajduje. Ale wycie szakała gdzieś w pobliżu oprzytomniło ją wprędce i zerwała się w chłodnej pomroce drżąc i wystraszona.

W tej chwili jakaś ciepła dłoń położyła się na jej rękach i cichy głos przemówił:

— To nic. Jestem przy tobie.

— Och! jak to ciemno — wyjęknęła, trzęsąc się. — Jak tu ciemno.

— Nie lękaj się — odpowiedział łagodnie. — Przysuń się do mnie. Ziębłaś.

Uczyniła, jak jej kazał, wdzięczna za to opiekuńcze ramie, jakim ją otoczył.

— Niedługo już zaczniesz światać — rzekł Nick. — Musisz być głodna? Prawda?

Była bardzo głodna i wzięła suchar, jaki jej Nick podał. Sam ten fakt jedzenia pociemku uspo-

koili ją trochę. Zjadła parę sucharów i uczuła się znacznie pokrzepioną.

— Ciepłej ci? — zagadnął Nick. — Pokaż mi ręce.

Były wciąż zimne; wziął je więc i przyłożył do piersi. Muriel drgnęła lekko, uczuwszy dotknięcie jego ciepłego ciała.

— Pan się zaziębisz — wyszeptała.

Ale on rozśmiał się tylko i mocniej te biedne rączki przytulił.

— Nie tak łatwo się zaziębiam — odpowiedział. — Zresztą, to ze snu tak ziębłaś. A ja nie spałem.

Muriel zdziwiła się. Nie gniewała się już na Nicka i nie lękała się go, jak dotychczas. Aczkolwiek mówiła sobie, że nie przebaczy mu nigdy jego zdrady, czuła, że to był jej jedyny opiekun w tej straszliwej puszczy i nie miała odwagi odtrącić go od siebie. Przeciwnie; obecność jego zaczynała działać na nią kojąco i niemal wbrew woli przytuliła się do niego.

— Jakto! nie spałeś pan wcale? — zapytała. — Jakżeś mógł wytrzymać?

Zaśmiał się, jakgdyby czemś skrycie ubawiony. Zdawał się być w bardzo dobrym humorze, i Muriel dziwiła się temu coraz bardziej, nie mogąc zgoła zrozumieć tego człowieka. I ogromny, nieokreślony ciężar przygniótł jej serce.

Czas jakiś siedziała w milczeniu; wreszcie odebrała mu ręce, zapewniając go, że jest jej już zupełnie ciepło.

— Chciałabym pomówić z panem — ozwała się, po raz pierwszy jakimś spokojniejszym tonem. — Panie Ratecliffe, pan możesz kierować tą naszą wyprawą, ale myślę, że powinienbyś wtaajemniczyć mnie w swoje plany.

— Nazywaj mnie po imieniu — rzekł na to. — To znacznie uprości sytuację. Owszem; chętnie zaznajomię cię z memi planami, aczkolwiek nic tak bardzo mądrego nie wymyśliłem. Widzisz, moja droga, jesteśmy do pewnego stopnia na łasce okoliczności. Znajdujemy się o jakieś dwanaście mil od fortu, a wszystkie wzgórza dookoła zapowietrzzone są krajowcami. Miałem nadzieję zrazu, że odbijemy się stąd daleko nocą, ale spałaś tak smacznie. Zresztą lepiej będzie odpocząć jeszcze dzień jeden. Za to jutrzejszej nocy powetujemy to sobie, jeżeli nam się uda. Ja mam rodzaj instynktu do tych gor. Tu można za-

wsze znaleźć doskonałą kryjówkę, jeżeli się jej umie poszukać. Oczywiście, musimy posuwać się bardzo ostrożnie i zwolna, kierując się na południe, i, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, możemy niebawem natknąć się na posiadki Bassetta.

Wszystko to wypowiedział w sposób niezmiernie prosty i pogodny, i Muriel zdumiała się znowu nad jego swobodą umysłu. Byłże istotnie tak wolnym od wszelkich obaw, czy tylko nie chciał się z tem przed nią wydawać? Bądź co bądź, było w nim coś wprost nadprzyrodzonego, jakaś ukryta zapasowa siła, na którą zdawał się liczyć w razie, gdyby wszystkie inne zawiodły. Jedna jeszcze rzecz zwróciła jej uwagę, co do której chciała się upewnić. To dziwne, jak dalece Nick Ratecliffe nie sprawiał na niej nigdy wrażenia człowieka, zdolnego do czynów niezwykłych.

— I pan naprawdę niosłeś mnie przez tę całą drogę? — zapytała.

— Coś koło tego — odpowiedział.

— Jak mogłeś tego dokonać? — podjęła żywo. Bez wątpienia było coś nadludzkiego w siłach tego człowieka.

— Nie jesteś bardzo ciężka — rzekł.

Otaczał ją wciąż ramieniem, i Muriel nie sprzeciwiała się temu, przerażona wciąż panującą dookoła ciemnością.

— A jadłeś co? — zapytała po chwili.

— Teraz nic — odpowiedział. — Pałem. Dziwię się, żeś tego nie zauważyła.

Coś, jakby wymówka, drżało w jego głosie, ale Muriel nie wzięła tego zbyt do serca. Ostatecznie, nie był znów tak bardzo strasznym przy bliższym poznaniu.

— Alboż palenie może zastąpić jadło? — zapytała.

— Doskonale — odrzekł przedko. — Chcesz spróbować?

Wstrząsnęła głową w ciemnościach.

— Zdaje mi się, że nie mówisz prawdy? — rzekła.

— Co takiego? — zapytał Nick.

Powiedział to właściwym sobie, niedbałym tonem, ale Muriel nie ponawiała swego twierdzenia. Ogarnęło ją nagle zawstydzenie i umilkła. On milczał także. Gdyby nie prężność obejmującego ją ramienia, byłaby mogła mniemać, że drzemie.

Milczenie stawało się uciążli-

wem, gdy Nick przerwał je raptem.

— Patrz! — rzekł — świta!

Wzdrygnęła się i spojrzała przed siebie, nic nie widząc.

— Tam, nad tobą, na lewo — rzekł Nick.

Jakoż, podniósłszy oczy w górę, dostrzegła rzedniejącą zlekka ciemność. Odetchnęła z ogromną ulgą i patrzyła, jak szybko rosło światło dnia. Ściany wąwozu stały się blade sine, potem różowe. Porastające dno wąwozu krzaki poczęły wysuwać się z pomroki, zrazu jakby fantastyczne jakieś kształty, poczem coraz wyraźniejsze i rzeczywistsze. To, co na krótką chwilę wielkiego przerażenia Muriel wzięła za skręty olbrzymiego węża, okazało się poplątanymi korzeniami rododendronu.

Wówczas odetchnęła raz jeszcze z głębi piersi i spojrzała na swego towarzysza.

Siedział, podparty na rękę, patrząc w wąwóz. Nie poruszył się i nie spojrzał na nią. Twarz ściągniętą miał w tysiące zmarszczek.

Nie wiedzieć dlaczego, Muriel zaniepokoiła się. Było coś nienaturalnego w jego nieruchomości.

— Nicku! — wymówiła wreszcie z wahaniem.

Zwrócił się szybko ku niej i wnet uśmiech rozpogodził mu twarz.

— Dzień dobry — rzekł wesoło. — Myślałem właśnie, jakby to było ślicznie umyć się w tym strumieniu. Trzeba przecież jakoś czas zabić. Może pójdziesz pierwsza?

Ta jego wesołość uraziła ją, choć wydała jej się sztuczną. Podniosła się zwolna i nagle spostrzegła coś, co wstrząsnęło ją dreszczem zgrozy.

— Proszę cię, nie patrz na moje nogi — rzekł Nick. — Nie są w tej chwili podatne do inspekcji.

Wsunął je szybko pod kępę paproci, a Muriel utkwiała w nim rozszerzone przerażeniem oczy.

— Och! jakież to straszne! — wykrzyknęła. — Masz nogi całe w ranach! Nie wiedziałem, że jesteś boso.

— Nie byłem — odpowiedział Nick. — Mam tam gdzieś sandały. Nie patrz tak na mnie, bo się rozpłaczę. Upewniam cię, że to nic a nic nie boli.

Uśmiechnął się znowu, ale Muriel nie dała się otumanić tem żartobliwym kłamstwem.

DCN.

Wiadomości literackie.

Polonica.

We francuskim piśmie *Comoedia*, poświęconem sprawom teatralnym, znajdujemy artykuł o teatrach warszawskich pióra Stanisława Rzewuskiego, w którym omówione są ostatnie nowości teatralne w Warszawie. Sprawozdawca podnosi wysoko ostatnią sztukę Stefana Krzywoszewskiego: „Dyabeł i karczmarka”, wyrażając się o niej między innymi w ten sposób: „Nowe dzieło S. Krzywoszewskiego nie jest studium obyczajowem i studium charakterów współczesnych, jakimi była większość utworów dotychczasowych znakomitego pisarza. Jest to raczej fantazja poetycka, lecz fantazja zgola znamienita, w której talent artysty raz jeszcze zaśnił całym blaskiem w sposób niespodziewany; z przyjemnością też zaznaczamy świetne powodzenie tego dzieła o wielkiej wartości literackiej”.

Berliner Tageblatt w dodatku swym p. t. *Der Welt Spiegel* (Nr. 3 z 9 stycznia) umieścił nowelę St. Krzywoszewskiego p. t. *Die Bluze*, w przekładzie p. Stefani Goldenring.

W dzienniku berlińskim „Tägliche Rundschau” p. Fr. Husong omawia „Chłopów” Reymonta w przekładzie niemieckim. Mimo, że autor artykułu zabarwia swoją krytykę komunałami wszechniemieckimi, sąd jego jest miejscami dosyć bezstronny i oddaje sprawiedliwość zarówno dziełu samemu, jak i autorowi.

Z literatury belgijskiej.

× *Wirginia Loveling*. „Een revolvershot”. („Strzał rewolwerowy”). Weteranka pisarek flamandzkich, której niedawno, w 75-tą rocznicę urodzin, składało w ojczyźnie wielkie hołdy, napisała książkę dobrą bezwątpienia, ale nie stojącą na wysokości jej dzieł dawnych. Postacie dwóch dziewcząt wiejskich, sióstr rodzonych, do których donzuan wiejski zaleca się jednocześnie, skreślone są z wytrawną znajomością duszy dziewczęcej; wszelako akcja, kończąca się „strzałem rewolwerowym”, zatraca silnie o melodramat.

Z literatury niemieckiej.

× *Walter v. Molo*. „Wir Weibgesellen”. („My, kobieciearze”). Dwaj mężczyźni, przyjaciele młodości, niemal bracia, walczą o jedną kobietę. Jeden, który ją posiada, ale duszę jej utracił, pragnie ją odzyskać, ale wtedy dopiero, gdy ukazuje się drugi i każe im przeczuwać całą doniosłość grożącej utraty. Małżonek pięknej Ethel jest artystą, który trwoni swój talent w sybarytyzmie życiowym. Przyjaciół jego, to człowiek czynu, człowiek żelaznej woli, który dotąd pogardzał niemal miłością kobiety. Ale „poskromiony Eros jest mściwy”, mówi autor: miłość spada na tego człowieka żelaznego hartu, jak grom, i pokonała go, bo silniejsza jest od najsilniejszej woli człowieka. Tych troje ludzi, po zacieklej walce obu rywali, nad brzegiem przepaści, dochodzi jednak do porozumienia i żyje nadal w spokoju i przyjaźni. P. Molo lubi nadawać ludziom swoim cechy bohaterskie — nie odstąpił od tej swojej zasady i w powieści, o której mowa; powieść jest niewątpliwie dziełem talentu, zakończenie jej tylko razi banalnością po scenach, drgających namiętnem uczuciem, po ciężkich przejściach duchowych bohaterów.

TREŚĆ № 5.

Gromada. *Józef Weyssenhoff*
 Rozmówki warszawskie. *B. Młodywut.*
 Tragedya ducha. *Gerald Villers-Stuart.*
 Szlakiem orla. *E. M. Dell.*
 Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYJI I ADMINISTRACYJI:
 Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor: STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
 Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Bonerowska 12.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Z dziedziny kosmetyki.

Maryni W. Odmrożone ręce, nogi, uszy, nos, wyleczy zupełnie i szybko *Gelurine*, płyn i krem, użyte jednocześnie, według przepisu, dołączanego do każdej dozy. Odciski dokuczliwe i zadawnione usunie *Cornil*.

Zagranicznej. Włosy pięknie rozjaśni bez uszczerbku dla owłosienia płyn *Hella*, dając naturalny blond lub kasztanowaty odcień. Włosy zbyt ciemne można zniszczyć przy użyciu środka, zwanego *Epil Max*.

Do Pań w Galicyi. *Abarid* we Lwowie pewien nieuczciwy kupiec fałszuje. Otóż proszono nas o zaznaczenie, że na każdej tubie znajdować się powinien napis „*Perfection*”. Otrąbki zaś *abaridowe* zawierać powinny w białym, okrągłym pudełku cyrkularz drukowany niebieski z firmą: „*Perfection*”.

Samotnej. Wągry z twarzy usunie *Pureol*. Zbytnią otyłość brzucha i bioder usunąć można specjalną do tego celu

masażystką pneumatyczną systemu *Herros* i kremem *Unique*, pochłaniającym tłuszcz. Wypisując masażystkę, trzeba wymienić, do jakiego celu ma służyć. Czerwoność powiek i łzawienie zniknie przy stosowaniu kompresików z waty, zwilżonej płynem *Virginal*.

Prenum. z Policzny. Środki, usuwające żółte plamy, piegi i opaleniznę, nie mogą być używane stale, lecz tylko do czasu, dopóki nie oswobodzą naskórka od owych przykrych naleciałości. Najlepszym kremem do tego celu okazała się *Precioza*, gdyż działa radykalnie a przytem nadzwyczaj łagodnie, nie sprawiając zaognień skóry, co zwykle ma miejsce przy użyciu innych środków przeciw-piegowych. — *Abarid* zaś, przeciwnie, jest środkiem odżywczym, konserwującym naskórek, chroniącym od wyrzutów, liszaj i wszelkich wysypek. *Abarid* powinien być używany stale, gdyż jednocześnie zjędrnia mięśnie twarzy, chroni ją od wpływów zmian atmosferycznych i fałdowania skóry, tem samem więc zabezpiecza od tworzenia się zmarszczek, a nawet wygładza zupełnie już zarysowane. Przy *Abaridzie* nie wolno używać tłuszczów do twarzy; wszelkie kremy waselinowe, lanolinowe, goldkremy, jako zawierające tłuszcze, muszą być bezwzględnie odrzucone, gdyż rozluźniają skórę i czynią ją skłoną do fałdowania się. Słowem, używając *Abarid*, nie innego prócz *Abaridu* na twarz kłaść się nie powinno. Rano trzeba myć twarz w ciepłej wodzie, nigdy w zimnej, *Otrąbkami abaridowymi* zamiast mydła. Jeśli twarz przyzwyczajona do pudru, można popudrować, lecz tylko pudrem *Abarid*, który jest pozbawiony domieszek metalicznych, jak bizmut, blejwaj i t. p. Takie domieszki zamulają pory skóry, stanowią zawiązek przyszłych wągrów i powodują wysypki podskórne, z powodu, że zatkane pory nie pozwalają zbyt cieżkiemu tłuszczowi podskórnemu wydostawać się na zewnątrz.

Do Wszystkich. Wszystkie środki tutaj zalecane mają na składzie firmy: „*Perfection*”, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109; w Łodzi *Spiess*, w Lublinie *Bernatowicz*, w Kielcach *Kalicki*, w Sosnowcu *Łączkowski*, w Piotrkowie *Kryński*, w Częstochowie *Popławski*, w Wilnie *Pruzan*, we Lwowie *Pawłowski*, Akademicka, 21, w Krakowie *Miklaszewski*, Pl. Dominikański, 1.

Na kopertach z pytaniami należy dopisać „*Dział Kosmetyczny*”.

M-me Erceadés.



Siwe włosy.

gina bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „*Wody Pigmol*”. Woda ta nie farbuję lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewski, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

INFORMACJE.

Pani Helenie J. W sprawie uczesań balowych najlepiej zwrócić się do specjalisty, który zrobi to według ostatniej mody, z zastosowaniem do rysów twarzy. Radzimy udać się do *Wiktora, Erywańska 16*. Można telefonicznie.

Wskazówki.

Pani Zofia G. Uczesanie modne, bez odpowiednich dodatków, jest niemożliwe. Najlepiej udać się o nie do specjalisty — fryzjera, p. *Józefa Bagnowskiego Wilcza 35, róg Marszałkowskiej*. dom W-go J. Fruzińskiego.

WYKWINTNA BIELIZNA DAMSKA
 WYPRAWY CAŁKOWITE (specjalność)

Z. BIERNACKA

Warszawa, Marszałkowska 152 (róg Erywańskiej).
 Telefonu 205-85.

JAN KRAFFT

Marszałkowska 154
RÓG KRÓLEWSKIEJ.

SUKNA, KORTY, TOWARY BŁAWATNE.
Nowości na każdy sezon.
 Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

Warsz. Poliklinika
Lekarsko-Dentystyczna,
 Nowy-Świat № 5.

Chirurg na miejscu. Porada bezpłatna. Zęby sztuczne w złocie, kauczuku, plomby, korony złote, leczenie; prostowanie krzywo rosnących zębów, przy poliklinice ambulatoryum dla niezmierzonych chorych codz., 9-10 r.

DOM BANKOWY

Ż. Szempliński i Ska Nowy-Świat 40,
 tel. 98-60.

Kupno i sprzedaż papierów procentowych, przekazy na zagranicę. Assekuracja. Lokaty. Konserwacje w Tow. Kredytowym.

Biedna wdowa

po obywatelu ziemskim bez żadnych środków do życia, zwraca się z gorącą prośbą o pomoc. Ofiary pod literami K. M. przyjmuje Administracja naszego pisma.

Pumpy, Siławki, narzędzia ogniowe i aparaty asenizacyjne

Józef Troetzer i Ska

W PRUSZKOWIE.

Biuro ulica Mr. Berge № 2. Telefon 7-56.

Warszawska Kasa Oszczędności i Pożyczek.

Krakowskie-Przedm. № 20, tel. 50-92.

Wydaje **pożyczki od 300 rb.**, spłacane ratami na dogodnych warunkach. Przyjmuje **wkłady**, płacąc do 7%.

Ubogi sierota

z inteligentnej rodziny, uczeń klasy II-iej szkoły polskiej, przgaranięty z litości przez znanych ludzi, lecz biednych i obarczonych liczną rodziną, nie mając ubrania, książek i opłaconego wpisu, poleca się gorąco miłosierdziu czytelników, błagając o jakąkolwiek pomoc. Ofiary dla „ubogiego sieroty” przyjmuje redakcja

K. SŁUPSKI

w Warszawie,

ulica Marszałkowska № 115, róg Złotej

CUKIERNIA egzyst. lat 60

ma zaszczyt przypomnieć się Sz. Publiczności.

Poleca: Lody, kremy, wyborne babki pettinetto-we, biszkopty, kichsy, torty, piramidy, cukry, czekoladki, karmelki, herbatniki, sucharki i pączki. Doskonałą kawę — Mazagrany — Likier.

CZYTELNIA WSZYSTKICH PISM

STACJA DR. Ż. W. WIED.
POCZTA I TELEGRAF NA
MIEJSCU. POŁĄCZENIE
TELEFONICZNE Z WAR-
SZAWĄ.

Grodzisk

45 MINUT JAZ-
DY KOLEJĄ OD
WARSZAWY,
5 MINUT SZOSĄ
OD STACJI.

6608

ZAKŁAD LECZNICZY *** Cały rok otwarty.

Ładny park, kanalizacja, światło elektryczne, ogrzewanie centralne. Ku-
chnia własna i dyetetyczna. Leżalnia i kąpiele słoneczno-powietrzne. No-
wa instalacja hydro-terapeutyczna. Kąpiele świetlne, 4-komorowe, sinuso-
idalne, gazowe z płynnego CO₂; natryski z gorącego powietrza. Masaż rę-
czny i wibracyjny. Mechanoterapia. Cena od 3 rb. 75 kop. do 6 rb. Pro-
spekty i cenniki gratis i franco. Kierownik zakładu Dr. Bronisław Malewski.

Kazimierz Patzer, Inżynier

BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH,
Warszawa, Jerozolimska № 21. Tel. 59-46.

ELEKTRYCZNE OŚWIETLENIE, ELEKTRYCZNE PRZENOŚNIE
SIŁY, POŁĄCZENIA Z SIECIĄ MIEJSKĄ. INSTALACJE TELE-
FONICZNE I SYGNALIZACYJNE. DZWIĘG ELEKTRYCZNE OSO-
BOWE I TOWAROWE. ELEKTRYCZNE ODKURZANIE I WEN-
TYLACJE. REMONTY, REWIZJE, STAŁY DOZÓR TECHNICZNY.
DOSTAWA WSZELKICH ARTYKUŁÓW WCHODZĄCYCH W
zakres powyższych urządzeń elektrycznych.
KOSZTORYSY I CENNIKI NA ŻĄDANIE.



Dobrze płacę, a tanio sprzedaję. Nabywam kwity lombardowe,
brylanty, perły oraz inne drogocenne przedmioty, placąc
najlepiej. Odstępuję je z małym zyskiem, sprzedaję też
tanie nową biżuterię i zegarki renomowanych fabryk.
Wybór ogromny poleca egzystujący od 1887 roku Magazyn
Jubilerski, A. DUSZKE, Marszałkowska 102, tel. 105-39.



Wytworny Iluzjon
"MASCOTTE"
Program pierwszorzędný
Muzyka koncertowa
BODUENA 4
we Wtorki i Soboty NOWOŚCI!!!



Inż. Rychłowski, Wehr i S^{ka}

BIURO HYDRO-TECHNICZNE
Warszawa Krucza № 24, tel. 10-24.

SPECYALNOŚĆ:

Studnie Artezyjskie.

WODA

Firma egzystuje
od r. 1894, wyko-
nała 1047 studzien
artezyjskich i naj-
głębszy otwór
świdrowy 3838 st.
ang.

6748

Piekarnia Nowa A. E. Nowy-Swiat № 68

nabyła na wyłączną własność prawo wyrobienia specjalnego chleba i su-
charków dla dyabetyków „KLEBON” podług przepisu prof.
(chorych na cukrzycę) p. n. „KLEBON” F. X. Kleinpetera w
Wiedniu. „KLEBON” sprzedaje się za pozwoleniem Urz. Lek. m. W.
w sklepie głównym Piekarni Nowej, NOWY-SWIAT № 68 w spec-
ygenicznym opakowaniu, opatrzonym marką fabryczną, oraz podpisem
wynalazcy.

KAUCYONOWANE BIURO

SZYMBORSKIEJ

Żórawia № 27, tel. 26-54

Poleca służbę domową tylko sprawdzoną. ŻENSKA: gospodyn'e, panny
służące, młodzie, kucharki, sługi do wszystkiego, posługaczki, praczki,
nianie, bony, zdolne krawcowe, bielizniarki, sklepowe, dziewczynki do
sklepów i aptek. MĘSKA: Szwajcarów, woźnych, bileterów do iluzjonów,
stróżów, kucharzy, lokajów, służących, sklepowych, furmanów, parobcza-
ków fornalni, pastuchów i etc.

NICI

Towary Norymberskie, Galanteryjne, Roboty ręczne
poleca **Albert Sperlich**, Jerozolimska 19.
TANIO długoletni współprac. Firmy A. Ludwig róg Brackiej 6706

Z. Dobrzańska i S^{ka} Warszawa, Jasna 10.

Telefon 178-75.

Materyały piśmienne. Teczki szkolne. Piórniki w wielkim wyborze.

ATRAMENTY TAŚMY DO MASZYN PISZĄCYCH
FARBY DO MIMOGRAFU I RONEO



WARSZAWA

ARKUSZE HEKTOGRAFICZNE TUSZ CHIŃSKI LAK, ETC.

= Prywatny Zakład Akuszerski i Ginekologiczny =

JULII PARADOWSKIEJ

przyjmuje Panie na słabość, **Żórawia № 7.** Tel. 68-29.
— czas dłuższy, kuracę. —

PIWA

BAWARSKIE PILZEŃSKIE

KULMBACH

POLECA

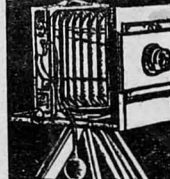
TWO AKC BROW. PAR.

HABERBUSCH & SCHIELE

TELEF. EKSP. 9.52 i 9.216

Niemoc męską leczy radykalnie Cena rub. 25.

7365— PATENTOWANY APARAT PASTORA
Seweryn PIK, Warszawa, Danielewiczowska 8 m. 20



Stanisław Szalay

Warszawa, Chmielna 40, Marszałkowska 110. Tel. 20-28.

Aparaty i przybory fotograficzne. Latarnie
czarnoksięskie. Przezroczka (wyrób własny).
Wywoływanie i kopowanie zdjęć amatorskich
Wszelkie wskazówki i nauka bezpłatnie.

Glycérophosphate Granulé

WAOTAT

poleca Warsz. Tow. Akc. **Ludwik SPIESS i SYN**

ZARZĄD I SKŁADY GŁÓWNE:

ul. Senatorska № 24. Telefon Gab. Dyrektora 691.

Filje w Warszawie: Plac Teatralny № 18. Telefon 629

6570 " Marszałkowska № 140. Telefon 678.

" Miodowa № 8. Telefon 154.

w Łodzi: Piotrkowska № 107.

Kupuję Brylanty srebro, złoto,
kwity lombard.

HENRYK JUWILER

Nowy-Swiat № 59. — I-sze piętro.
Sprzedaję biżuterię i srebra okazj-
nie. Kontentuję się małym zyskiem,
bo w mieszkaniu, tel. 55-28.

Otwarty nowo wybu-
dowany w Krakowie
Hotel Francuski
(HOTEL DE FRANCE)
ul. Św. Jana i Piłarska. Tel. 10-45.

Położenie bardzo spokojne. Ostatni wyraz komfortu i higieny. Ceny bardzo przystępne. W naj-
lepszym położeniu plan, blizko stacji kolejowej i rynku. W każdym pokoju telefon, automatyk przy-
rząd do budzenia, ciepła i zimna woda, pokoje z wannami, apartamenty i familijne, 3 windy elektryczne,
restauracja, kawiarnia, czytelnia, fryzjer męski i damski, autogaz i samochód przy każdym pojeździe.

„English House” W. MAJEWSKI

Telef. 36-58.

WARSZAWA,
Ś-to Krzyska 8.

Nowości w konfekcyi męskiej, artykułach mody i sportu.

BEKESZE (świtki) na futrze, PALTA ang., KOSTJUMY i KURTKI myśliwskie, SZLAFROKI, KURTKI ranne, PYJAMAS, SWAETERY, KAPELUSZE i CZAPKI angielskie, PLEDY, KOSZULE, TRYKOTAŻE wełniane, KRAWATY, RĘKAWICZKI i t. p.

1882 1896

Pomimo wszelkich zarzutów ze strony drobnej konkurencyi jest i pozostanie „Kryształ” T-wa B-ci NOBEL najlepszą naftą ostatniej doby wszelkich lamp, a w szczególności naftowo-żarowych. Główna sprzedaż w Warszawie, ul. Niecała № 4. Tel. 223-20 i 223-40.

7409— ZAKŁAD
Lecznicy dla przychodzących
z chorobami żołądka i kiszek
Dra Tadeusza Wilczyńskiego
Al. Jerozolimska № 35. Tel. 282-25,
przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p. p.

Kaucyonowane Biuro Nauczycielskie
i Rekomendacyi Pracy

JANINY ARNDOWEJ
Nowy-Swiat № 46. Telef. 119-19.
poleca: nauczycielki i bony polki,
niemki, francuzki i angielski (gover-
ness i nurse), oraz kandydatów i kan-
dydatki na wszelkie posady handlo-
we i gospodarcze. —7375

Tanie pierze czeskie.

5 kg. świeżych dartych 4 rb. 30 k., lepsze 5 rb. 20 k., 5 kg. białych, miękkich jak puch, dartych 10 rb. i 12 rb. 50 kop., 5 kg. śnieżno-białych miękkich jak puch, dartych 15 rb., lepsze 17 rb. 50 k. Pierze nie płacą cła. 5 kilogr. = 12 funtom rosyjskim. Wysła się franco bez cła za zaliczeniem. Zwrot i wymianę uwzględnia się za potrąceniem porta.

Benedikt Sachsel,
Lobes № 182 p. Pilsen, Czechy.



PARFUM

CHEVALIER D'ORSAY

17, RUE DE LA PAIX. PARIS

Nowo otwarty Magazyn Broni
POD FIRMĄ

R. Gliniecki i B. Wierzejski

w Krakowie, ul. Szewska 2.

poleca bogaty wybór broni wszelkich systemów, przyborów myśliwskich, sportowych, oraz własną pracownię i warsztaty reparacyjne.

KĄDZY MALARZ

DOWINIEN
SPRÓBO-
~WAC

FARB
ARTYSTYCZ-
OLEJNYCH;
AKWARELO-
WYCH KRA-
KOWSKIEJ FABRYK

99 ISKRA 66



GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓL. i CESARSTWO Z. Bośniacki w DĄBROWIE GÓRNICZEJ.
Reprezent.: A. LANGOWSKI i S. KRASNODEBSKI w Warszawie, Nowogrodzka № 6 A, tel. 180-14.